Nr. 35. Lwów, Niedziela dnia 27. Sierpnia 1876 r. **Rok III.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XXXIV.

NASZE GOSPODYNIE MIEJSKIE.

Polki są zwykle dobremi gospodyniami wiejskiemi, lecz nawet najgorętszy pochlebca nie może tego powiedzieć o nich, aby miały wiele talentu do krajcarkowego gospodarstwa miejskiego. Jeśli mamy rzec otwarcie, to panie nasze oczywiście nie bez wyjątków, są w ogóle słabemi gospodyniami po miastach.

Nie przeczymy, że kobiece gospodarstwo wiejskie może mieć bez porównania więcej powabu, niż w mieście. Wiejska gospodyni ma otwarte pole do różnorodnych kombinacyj, aby sobie przysporzyć wszystkiego, co do zarządu domu jest potrzebnem — od jej postanowienia zależy, czem zasiać i zasadzić ogród warzywny, w co, kiedy i w jakiej ilości zaopatrzyć spiżarnię, jak pokierować gospodarstwem mlecznem; hodowla drobiu, kuchnia, bielizna i porządek domowy do niej należą. Jest więc o czem pamiętać, ale też jest kim i posłużyć się, bo służby bez liku.

Inaczej w mieście. Tu gospodarstwo domowe nie jest gospodarstwem w właściwem tego słowa znaczeniu, tj. samodzielnem przysparzaniem sobie potrzebnych do utrzymania domu artykułów, lecz cała czynność gospodyni redukuje się ostatecznie tylko na pieniężne rachunki — i rachunki bez końca! Miejska gospodyni nie wie, co to znaczy radość z własnego przychowku, ona nie sieje nigdy i nie zbiera, jeżeli ma spiżarnię, to nie może patrzeć na zgromadzone w niej zapasy z tą przyjemnością, z jaką człowiek zawsze patrzy na to, co jest jego własnem dziełem — bo jej przynoszą wszystko gotowe, a czynność jej gospodarska redukuje się zawsze na to, aby tylko coś k u p i ć. Kupować i rachować — oto alfa i omega kobiecego gospodarstwa w mieście. Jakież to jałowe!...

Tak sądzi u nas wiele pań, lecz podobne ekskuzy są z gruntu mylne i nieuzasadnione. Cóż jest poetycznego np. w zapachach krowiarni, albo czy gromada wiejskiej czeladzi mniej sprawia kłopotu niż jedna lub dwie sługi, jakiemi rozporządzają zwykle panie w mieście? Gospodyni miejska powinna równie dobrze znać się na wszystkiem co dla domu potrzebne, jak i wiejska — ta tylko zachodzi między niemi różnica, że wiejska sama rozporządza produkcją większej części artykułów kobiecego gospodarstwa, gdy miejska ma za zadanie umieć kupić to, co jej potrzebne, w najlepszym gatunku, w właściwej porze i tanio. Jedna i druga gospodyni mają jednakowy cel praktyczny — oszczędność: ta lepsza gospodyni na wsi czy w mieście, która mniejszym kosztem obficiej i wytworniej umie zaopatrzyć dom w codzienne potrzeby życia i utrzymuje w domu porządek. Ten mały światek, zamknięty w kilku pokoikach miejskiego pomieszkania, ileż wymaga nieustannego zachodu, kombinacyj rachunkowych, roztropności, przezorności i taktu, aby życie w nim upływało mile i wygodnie — czyli innemi słowami, aby mieszkanie urządzone było gustownie i z komfortem, bielizna, garderoba, aby były zawsze w porządku, kuchnia i usługa aby nie pozostawiały nic do życzenia, a przytem wszystkiem rozchód aby był zawsze z przychodem w zgodzie!

Naturalnie, iż mamy tu na myśli wyłącznie tylko materjalne potrzeby domowe i wcale nie mamy zamiaru dotykać obowiązków rodzinnych i towarzyskich pani domu wobec męża, dzieci i domowników, w salonie i na zewnątrz.

Otóż powtarzamy, brak nam, wielki brak dobrych gospodyń w miastach. Nie żądamy, aby u nas córki właścicieli kamienic same myły schody kamieniczne a żony ich aby posługiwały lokatorom jak czynią Niemki; nie marzymy aby nasze panie umiały z takim szykiem eleganckim urządzać się w ciasnych izdebkach jak Paryżanki, rezygnujemy z angielskiego komfortu w urządzeniu domowego ładu. Całkiem skromniutko prosimy tylko o t r o c h ę w i ę c e j o s z c z ę d n o ś c i i z a p o b i e g l i w o ś c i!

Statystyka przekonuje, że liczba małżeństw w stosunku do ogólnej cyfry przybytku ludności corocznie zmniejsza się w miastach. A czemu? Spytajcie pierwszego lepszego kawalera z pewną pozycją towarzyską a *notabene* niezakochanego, to usłyszycie z pewnością stereotypową odpowiedź — iż obawia się, że żona zrujnuje go materjalnie. Na stroje nie oszczędza w wydatkach żadna kobieta u wszystkich narodów — to już o tem niema co i mówić. Że jednakże można by u nas zaprowadzić pewne oszczędności w obszerności mieszkań, liczbie sług, kosztach przyjęć domowych i reprezentacji, tego nikt nie zaprzeczy, kto miał sposobność obserwować zwyczaje i obyczaje domowe bogatszej bez porównania niż my ludności miast zagranicznych.

Oprócz tego wszystkiego potrzeba także zauważyć, że panuje u nas dziwna jakaś nieporadność w przedmiocie komfortu domowego. Za te same pieniądze, za które np. w Paryżu lub we Wiedniu można mieszkać elegancko i wygodnie, mieszka się u nas jak najgorzej. Kobiety są temu winne głównie — chociaż prawda, że n i e w y ł ą c z n i e.

W nowszym systemie wychowywania młodzieży żeńskiej baczną zwraca się uwagę na praktyczną stronę życia, a rozszerzony zakres ogólnego wykształcenia umysłowego, jakie otrzymują wychowanki teraźniejszych szkół żeńskich rozwija o tyle wrodzone kobiecie uczucie estetyczne, że spodziewać się można, iż szybko teraz będzie pomnażał się u nas zastęp gospodyń, umiejących łączyć oszczędność z wygodą i elegancją skromną. Sprawiedliwość nakazuje też przyznać, że u ogółu pań naszych zaczyna istotnie wyrabiać się pewna dążność do tego, aby zaprowadzić komfort i dobry smak w urządzeniu domu, a zachować przy tem oszczędność. Tym chwalebnym intencjom życzymy jak najlepszego powodzenia!

Pierwszy u mety.

NOWELLA.

II.

(Dokończenie).

IV.

Jakie wrażenie sprawiły na panu Jędrzeju podane powyżej w urywkach listy

pana Stefana, orzec trudno. Pan Jędrzej bowiem był usposobienia zamkniętego w sobie i nierad wypowiadał swoje uwagi, a nawet pomimo najlepszych chęci nie miałby był przed kim tego uczynić, nie żył bowiem z nikim w okolicy, a pani Gwizdalska jakkolwiek wzorową była klucznicą, nie posiadała jednak klucza do jego myśli i tajemnic. Niewiadomo zatem, czyli pan Jędrzej istotnie tryumfował z powodu niespodziewanego przejścia swojego „praktycznego“ przyjaciela do obozu podobnych jemu „marzycieli“ i „fantastów.“

Od ostatniego listu pana Stefana, pisanego w tak zagadkowem rozdrażnieniu na wyjezdnem z Rugji, upłynęło kilka miesięcy bez żadnych z jego strony wiadomości. Pan Jędrzej począł na serjo niepokoić się o przyjaciela i snuć rozmaite mniej lub więcej nieprawdopodobne domysły. Koniec temu położył wreszcie list napisany przez pana Stefana z Drezna, w którym donosił, że przez tych kilka miesięcy podróżował po Niemczech, Belgji i Hollandji, zwidzając rozmaite fabryki i gospodarcze zakłady, a obecnie przepędza zimę w Dreznie, gdzie zabawi aż do wiosny. List ten, podobnie jak i kilka następnych z Drezna, były wszystkie pisane w dawnym tonie chłodnym, trzeźwym, praktycznym i pozytywnym. Zawierały po większej części zapatrywania na rozmaite kwestje ekonomiczne i gospodarcze, zapatrywania niepozbawione wprawdzie jak zwykle pewnego szowinizmu i doktrynerstwa, ale zresztą tak ściśle pozytywne, fachowe i nudne, że mogły zdobić niejeden zeszyt „Rolnika.“ Nie było w nich żadnych kropek, domyślników, pytajników, wykrzykników, całego tego aparatu znaków pisarskich, zapomocą którego usiłujemy myślom naszym nadać jakąś tajemniczą, w mglistej nieskończoności gubiącą się perspektywę. Mimo to jednak miały one pewną stronę mistyczną, a tą było jakieś nagłe entuzjastyczne uwielbienie dla życia rodzinnego, dla cnót domowych, których szczytne przykłady widywać miał u Niemców. Począł znajdować naraz, że życie rodzinne jest koniecznym warunkiem systematycznej, uregulowanej i zmierzającej do celu pracy i produkcji pojedyńczych jednostek, a zatem warunkiem postępu i rozwoju ekonomicznego u każdego narodu, jak tego dowodzą Anglicy, Niemcy i inne narody wysoko ekonomicznie stojące. Argumentował bardzo ściśle, bardzo racjonalnie i bardzo wymownie, jako człowiek praktyczny, ze stanowiska wyłącznie gospodarczego i ekonomicznego, nie dotykając wcale innych stron tej kwestji. Konkluzją każdego takiego wywodu było wezwanie do pana Jędrzeja, ażeby już raz przecie przestał być marzycielem i ożenił się. „Małżeństwo — pisał — nie jest tak głupim wymysłem nawet dla rozsądniejszych i praktyczniejszych od ciebie ludzi, dla tego, mój Jędrusiu, żeń się!“ Ożenienie pana Jędrzeja zdawało się być jego *idée fixe,* do której w każdym liście powracał. „Wiesz co, Jędrusiu — pisał w jednym ze swych listów — jeśli dłużej będziesz mazgaił a wszystkie moje perswazje będą daremne, to dla twojego przykładu i dobra gotówem się zdobyć na akt heroiczny, jakiego się po mnie ani domyślasz.“

Pan Jędrzej istotnie nie domyślał się, co by to mógł być za akt heroiczny.

Nadeszła wreszcie wiosna, z wiosną wróciły jaskółki, ale z jaskółkami nie wracał jakoś pan Stefan.

Minął maj, minęła połowa czerwca. W tem pewnego dnia już nad wieczorem, przed dwór Garwoliniecki zajechał fjaker a z fjakra wysiadł p. Stefan.

Przywitanie obodwu przyjaciół było bardzo serdeczne, zwłaszcza że niespodziewane.

— Skądże wracasz, ty żydzie wieczny tułaczu? — zapytał pan Jędrzej ściskając przyjaciela.

— Wracam teraz ze Lwowa. Bawiłem tam kilka dni po powrocie z zagranicy w interesach — dodał pan Stefan jakby od niechcenia.

— Spodziewam się że nie przyjeżdżasz do mnie jak po ogień.

— Owszem zabawię u ciebie kilka dni, a potem pojedziemy razem do Lwowa, wszak za kilka dni wyścigi.

— Niech i tak będzie. Jakież mi przywozisz nowiny?

— Hm! może ważniejsze niż się spodziewasz — odparł pan Stefan z tajemniczym uśmiechem. — Ale o tem potem, będziemy jeszcze dość mieli czasu nagadać się ze sobą. A teraz — dodał zwracając się do pani Gwizdalskiej, która jakoś przypadkiem znalazła się na ganku — daj mi pani jeść, bo inaczej nie ręczę za siebie...

Pani Gwizdalska uśmiechnęła się zalotnie i podreptała naprzód z kluczykami. Za nią weszli pan Stefan z panem Jędrzejem.

Podano herbatę i rozpoczęła się zaraz pogadanka serdeczna, przyjacielska, trochę bezładna, jak zwykle między przyjaciółmi, którzy się dawno nie widzieli a zatem dużo sobie mają do powiedzenia. Z kolei zaczął pan Stefan opowiadać swoje wrażenia ze świeżo odbytej podróży, swoje przygody i zdarzenia, ale cały czas pobytu w Rugji zbył, jakby od niechcenia, ledwie kilkoma słowami i widocznie niechętnie wspominał o tym okresie swej podróży. Nie była to może niechęć, ale jakieś niby zażenowanie — może się wstydził listów swoich i zadokumentowanego w nich chwilowego wykolejenia swego z „praktycznego“ sposobu myślenia w obec „niepraktycznego“ przyjaciela u którego lubił zawsze uchodzić za proroka i profesora „praktyczności.“ Kto przedtem znał pana Stefana tak dobrze, jak pan Jędrzej, ten musiałby zauważyć, że podróż ta wywołała w usposobieniu pana Stefana pewną zadumę, pewien przełom — zrobiła go poważniejszym, spokojniejszym, mniej nerwowym i w samej rzeczy może „praktyczniejszym.“

Pan Jędrzej słuchał opowiadania przyjaciela w milczeniu i uważnie.

Zwolna, przy fajeczce i butelce starego tokaja, którą wydobyto z dobrze zaopatrzonej piwnicy pana Jędrzeja *in gratiam* przyjazdu pana Stefana, rozwiązały się lepiej jeszcze usta i rozpoczęła się ożywiona gawędka, od której przy winie przychodzi zwykle między przyjaciółmi do zwierzeń poufnych, serdeczności i innych dygressyj lirycznych. W to stadjum weszła właśnie rozmowa.

Pan Stefan był już w usposobieniu nieco podniesionem, napełnił swój kieliszek tokajem i trącając nim o kieliszek pana Jędrzeja rzekł tonem na wpół tajemniczym, a na wpół żartobliwym:

— Obyśmy tak nie długo wypili ze sobą przy innej — szczęśliwszej i ważniejszej okazji...

Pan Jędrzej zaczerwienił się na to przemówienie, ale poskramiając swoje pomięszanie zapytał z udanem zdziwieniem:

— Przy jakiej że to okazji? Co chcesz przez to powiedzieć?...

— Mój Jędrusiu — rzekł pan Stefan tonem uroczyście serdecznym, — jesteśmy od dawna przyjaciółmi, nie powinniśmy zatem mieć w obec siebie żadnych tajemnic...

Pan Jędrzej zmięszał się jeszcze bardziej.

— Co?... jakie tajemnice?... — zapytał zmięszany.

Ale pomięszania tego pan Stefan widocznie nie zauważył. Odparł więc śmiejąc się:

— Zwolna, zwolna Jędruniu — oho! jaki się z ciebie zrobił gorączka!

— Widzisz mój drogi, — ciągnął po chwili—pamiętasz com ci raz pisał z Drezna, że jak będziesz dłużej takim mazgajem, jak dotąd, i jak będę widział, że wszystkie moje namowy i perswazje, ażebyś się już raz ożenił, nie pomagają, wtedy ja, dla twojego dobra i przykładu, zdobędę się na akt heroiczny, jakiego się po mnie ani spodziewasz? Pamiętasz?

—Pamiętam, pamiętam, mój drogi—odparł p. Jędrzej z uśmiechem i ochłaniając zwolna ze swego zakłopotania —i nie pojmowałem wtedy co to ma znaczyć.

— Nie pojmowałeś? — rzekł śmiejąc się pan Stefan — bardzo temu wierzę — i cóżeś myślał?

— Myślałem, że to jeden z twoich zwrotów retorycznych — taki sam jak ów poprzedni: „obaczymy się wkrótce — albo nigdy!“ — odparł śmiejąc się pan Jędrzej.

— E! e! tamto było głupstwo — rzekł pan Stefan z pewnem nieukontentowaniem— ale to miało swoje znaczenie, i właśnie chcę ci powiedzieć jakie...

— Bardzom ciekaw.

— To znaczyło, mój drogi, że... że... się w takim razie sam ożenię...

— Ty? ty się ożenisz?... — zawołał wesoło pan Jędrzej.

— Tak, i to, mam nadzieję, wkrótce — odparł poważnie pan Stefan.

Pan Jędrzej zamyślił się chwilę, co widząc pan Stefan ciągnął dalej żartobliwie ojcowskim tonem:

— Widzisz, widzisz, mój Jędrusiu — wstyd ci teraz żem cię wyprzedził, prawda? A widzisz, nie trzeba było być takim mazgajem... A mówiłem ci: uważaj bo jeszcze ci ten wstyd zrobię, że się pierwej od ciebie ożenię.. ha! teraz staraj się mnie naśladować, mam nadzieję, że choć to cię przekona i zachęci, dla twojego to przykładu żenię się...

— Cóż cię do tego skłoniło, prócz tej

filantropicznej pobudki? — zapytał z uśmiechem p. Jędrzej

— To, com ci już pisał. Przekonałem się, że małżeństwo jest pomocnem dla ludzi zabierających się do celu praktycznego, że pobudza do pracy i wytrwania, bo stawia dla niej cel dotykalniejszy, bliższy, widoczniejszy a tem samem bardziej zachęcający dla nas ludzi ziemskich, którym potrzeba zawsze jakiejś pobudki zmysłowej, potrzeba poprostu batoga do pracy...

— Wolnoż wiedzieć przynajmniej, kto jest szczęśliwą sprawczynią tego przeobrażenia twoich zapatrywań matrymonialnych i ich przedmiotem? Może jaka Drezdenka z jasnemi włosami? — zapytał żartobliwie pan Jędrzej.

— Prawdę powiedziawszy, ja sam jeszcze dobrze jej nie znam — odparł z lekkiem zakłopotaniem pan Stefan — ale poznam ją i jestem pewny...

— Jakto? nie znasz jej jeszcze?—zawołał śmiejąc się pan Jędrzej.

— To jest... widziałem ją kilka razy... i teraz znowu we Lwowie.

— Widziałeś ją teraz? teraz we Lwowie?... — zapytał pan Jędrzej z gwałtownem zdziwieniem.

— Tak... zdaleka...

— Mówiłeś z nią?

— Nie — nie mówiliśmy ze sobą jeszcze nigdy przynajmniej słowami... ale oczy nasze rozmawiały ze sobą, i oczy jej powiedziały mi wszystko...

Pan Jędrzej zamyślił się głęboko.

— Widziałem ją tylko kilka razy w życiu — ciągnął dalej w pewnem rozmarzeniu pan Stefan — kilka razy w rozmaitych czasach. Ale za pierwszym razem coś mi powiedziało: to żona dla ciebie, weź ją, będziesz z nią szczęśliwy... Sądziłem, że to przywidzenie mojej wyobraźni, że to kaprys, odtrącałem tę myśl od siebie, lecz ona wciąż powracała do mnie jak mucha natrętna... uciekłem od niej w obce kraje — i tam mnie znalazła, i tam mnie dręczyła... wiesz na Rugji... Musiałeś to z listów moich wyczytać... Jestem człowiekiem praktycznym i racjonalnym, nie daję się powodować żadnym fantazjom... ale tu widzę moje przeznaczenie... a przed przeznaczeniem rozsądek nie dozwala się uchylać.

— Jest-żeś pewnym, że... że ci jest wzajemną? — zapytał stłumionym nieco głosem pan Jędrzej, który w głębokiem zamyśleniu przysłuchiwał się słowom pana Stefana.

— Wyczytałem to w jej oczach... jestem pewny. Przemyślałem wszystko i widzę, że nie ma co dłużej zwlekać. Za kilka dni rozpocznę stosowne kroki.

— Dopiero rozpoczniesz kroki?

— O! nie bój się! — zawołał żwawo pan Stefan — gdy sobie raz co postanowię to kończę prędko. Nie jestem takim jak ty mazgajem. U mnie inaczej! Obaczysz jak się uwinę!

Lampa stojąca na stole świeciła dość blado. Tej okoliczności tudzież wzruszeniu, w jakiem sam pan Stefan się znajdował, należy przypisać, że nie spostrzegł wrażenia, jakie słowa jego sprawiły na panu Jędrzeju. Był pomięszany, niespokojny, i co chwila mienił się na twarzy. Teraz, przymuszając się do uśmiechu, zapytał tonem niby obojętnie żartobliwym:

— No, powiedzże mi przynajmniej, jak się nazywa to twoje tajemnicze bóstwo?

Pomimo żartobliwego tonu czuć było, że mu to pytanie utkwiło w gardle.

Pan Stefan namyślił się.

— Nie! nie! — odparł po chwili — nie powiem ci teraz. Za kilka dni dowiesz się. Za kilka dni będziemy razem we Lwowie, na wyścigach, wtedy ci powiem, wtedy ci ją pokażę. Sprawię ci tem niespodziankę, nielada niespodziankę! — zawołał śmiejąc się wesoło. I spoglądnąwszy na zegarek dodał:

— Zagadaliśmy się, a tu już późno. Zmęczony jestem i chce mi się spać. No! dobrej nocy... ty... ty... ty... fantasto—rzekł ściskając serdecznie pana Jędrzeja.—A niech ci się także przyśni jaka blondynka, nie ma jak blondynki!

I obaj przyjaciele rozeszli się do swych pokojów.

W pokoju sypialnym pana Jędrzeja świeciło się tej nocy prawie do rana.

V.

We dwa dni później panował na ulicach Lwowa ten sam, na początku opisany, więcej niżeli świąteczny ruch. Te same powozy, karykle, faetony, wózki, dwu- i jednokonne fjakry i dryndulki ciągnęły „gęsiego“ ku rogatce Janowskiej. Te same widać było w nich twarze, tych samych bystro z po za monocle'a na tłumy spoglądających kawalerów, te same eleganckie panie „z towarzystwa“ niedbale rozparte w powozach, te same „panie z miasta“ w najętych remizach, rzucające krytyczne spojrzenia na toaletę poprzednich w intencji studjów porównawczych między ich toaletą a swoją własną, tych samych szlachciców grubych, przybyłych z prowincji, te same szlachcianki ich połowice, usiłujące we wszystkiem małpować „panie stołeczne“ i przez nie nielitościwie przezywane „parafianicami,“ a przy nich córeczki z buziaczkami jak róże polne, z oczkami jak bławatki w nowomodnych kapeluszach monumentalnego kształtu, wyglądających jak srocze gniazdo na młodej topolce, wpół przestraszone a wpół ciekawe, i tych samych „gogów“ w wysokich kołnierzykach, olbrzymich krawatach, z lornetami powieszonemi przez szyję, gadających równie głośno jak niedorzecznie, giestykulujących bez żenady, rzucających zazdrośne a uwielbienia pełne spojrzenia na kawalerów zamonocl'owanych, powożących własną czwórką i faetonem, jako na apostołów „szyku,“ którego oni dotychczas są tylko wiernymi wyznawcami. Ten sam tłum piechotników pielgrzymował po obu bokach ulicy, te same w nim znaleść było można twarze, te same podsłuchać rozmowy, te same uwagi, te same plotki. Zgoła wszystko było takie same jak na zeszłorocznych wyścigach. Jestem przekonany, że nawet ten sam kurz przeszłoroczny zalegał ulice, dzięki pietyzmowi, którym go otoczył Magistrat.

Tą samą też parą srokatych jukerów, tym samym wózkiem węgierskim, z tym samym Fediem obróconym plecami do koni, jechali pan Stefan z panem Jędrzejem.

Pan Stefan był dziś w usposobieniu trochę nerwowem a chwilami znów zamyślonym. Pan Jędrzej przeciwnie pogrążony był wciąż w głębokiej kontemplacji a chwilowe wybuchy wesołości przyjaciela wywoływały na jego usta tylko słaby uśmiech lub czasem jedno słówko roztargnionej odpowiedzi.

Niedaleko przed rogatką zagadnął nagle pan Stefan swojego milczącego towarzysza:

— Cóż, Jędrusiu, bardzoś ciekaw niespodzianki, którą ci przyobiecałem?

— Mój Stefciu — odparł po chwili namysłu spokojnie pan Jędrzej — muszę ci się teraz przyznać, że... że i ja także mam dla ciebie niespodziankę, której dlatego dotąd nie wyjawiłem, aby ci nią tem większą sprawić przyjemność.

— No! proszę! — zawołał wesoło pan Stefan — prawda! masz dziś minę niezwykle tajemniczą! dzisieszy dzień przeznaczony widać na niespodzianki. No, jakaż ta twoja niespodzianka?

— Mój Stefciu, ja się żenię — odrzekł powoli i dobitnie pan Jędrzej.

Pan Stefan na te słowa aż podskoczył na siedzeniu, wlepił w pana Jędrzeja wzrok pełny nieopisanego zdziwienia i po chwili zawołał.

— Ty? ty się żenisz? A to jak? kiedy? z kim?...

W chwili gdy wymawiał te słowa, zbliżali się do białej kamieniczki, w której oknach między firankami stały wazonki z geranium, rezedą i centyfolją. W tem samem oknie, co rok temu, stała Anielcia, piękniejsza niż kiedy z różyczką w jasnych włosach z czarującym, filuternym uśmiechem i kilkakrotnie skinęła główką ku przejeżdżającym. Obok w drugiem oknie stała jej mama, ubrana w czepek z czerwoną kokardą, i kłaniała się także.

Pan Jędrzej uchwycił szybko za kapelusz i ukłonił się z uszanowaniem mamie, z wymownym uśmiechem Anielci.

Pan Stefan rzucił zdziwiony wzrok naprzód na Anielcię, potem na pana Jędrzeja i zapytał szybko:

— Jakto? znasz ją?

— To właśnie jest moja narzeczona — odparł pan Jędrzej, patrząc spokojnie ale badawczo w twarz panu Stefanowi.

Na te słowa jakoby prąd elektryczny przebiegł pana Stefana od stóp do głowy. Zwrócił się raptownie ku panu Jędrzejowi i wlepił w niego wzrok. Przez kilka sekund patrzyli tak sobie oko w oko. Co sobie wyczytali z ócz — tego sami może nie wiedzieli...

Nagle parsknął pan Stefan głośnym śmiechem i zawołał:

— Ha! ha! ha! a to zabawna rzecz! ha! ha! ha! — i śmiał się do rozpuku.

Pana Jędrzeja skonfundował nieco ten niespodziewany wybuch śmiechu zapytał więc trochę urażony:

— Cóż w tem tak śmiesznego upatrujesz?...

— Ja? ha! ha! ha! nic! wcale nic! owszem! ha! ha! ha! — i wybuchnął jeszcze głośniejszym śmiechem.

*

Pan Jędrzej uczuł się teraz naprawdę urażonym. Wzruszył ramionami i zmarszczył brwi.

— No, no, nie gniewaj się Jędrusiu— rzekł pan Stefan uspokoiwszy nieco swój paroksyzm — ale taki mnie czegoś pusty śmiech porwał, ha! ha! ha!

— Nie pojmuję dotąd jego przyczyny — odparł pan Jędrzej z lekkim przekąsem.

— Ale bo widzisz... kiedym sobie nagle wyobraził ciebie — żonatym, to... ha! ha! ha! ha!

— Nie widzę w tem nic tak zabawnego — odparł sucho pan Jędrzej.

— No, nie gniewaj się na mnie, wiesz przecie, że jestem twoim przyjacielem i szczerze się cieszę, żeś wreszcie moich rad u...u...u... usłuchał... — pan Stefan ledwie zdołał poskromić nowy paroksyzm śmiechu.

Mimo to gdyby ten śmiech usłyszał był ktoś z boku znający się na takich rzeczach, byłby był może poznał, że nie szedł on tak prosto z serca.

Może się i pan Jędrzej czegoś podobnego domyślił, bo spoważniał bardzo i zamyślił się głęboko. Po chwili milczenia odezwał się:

— Teraz na ciebie kolej, Stefciu.

— Jaka kolej?

— Pokazać mi twoją wybraną — odparł pan Jędrzej z uśmiechem.

— Jaką wybraną?

— Mówiłeś mi przecie, że się masz żenić.

— Ja? ja mam się żenić? ha! ha! ha! przecież jeszcze nie zwarjowałem zupełnie.

— A cóż znaczyła ta mistyfikacja?

— Co? nie domyślasz się? Był to podstęp, łapka na ciebie — zręczny środek, ażeby moim przykładem skłonić ciebie do ożenienia się. Figiel był wprawdzie spóźniony, ale zawsze dobry.

Pan Jędrzej nic na to nie odpowiedział, ale widać było, że nie bardzo wierzył w tę nową wersję. Po chwili zapytał:

— Chcesz żebym cię moim paniom przedstawił? Będą na wyścigach.

— I owszem — odparł po chwilce namysłu pan Stefan.

* * *

Pan Jędrzej przedstawił podczas wyścigów swoim paniom pana Stefana, jako starego przyjaciela. Mama przyjęła go pełnem majestatycznej godności skinieniem głowy, a Anielcia zimnym, etykietalnym dygiem. Pan Stefan spojrzawszy ukradkiem w jej oczy, byłby był przysiągł, że to zupełnie inne oczy, niż te, które widział dawniej — bo teraz... nic w nich nie wyczytał.

Z oczyma kobiet zdarza się to często...

Skończyły się wyścigi. W tym roku dla odmiany wszystkie nagrody zabrały konie hr. Tarnowskiego a nagrodę dam p. Tuczyński. Więc było wszystko w porządku.

Obaj przyjaciele wracali znów razem z wyścigów, ale w zupełnie odmiennem usposobieniu. Pan Jędrzej był wesół i gadatliwy, pan Stefan zamyślony i ponury, chociaż chwilami udawał wesołość.

— Cóż, Stefciu, — zagadnął go wesoło pan Jędrzej, — będziemy jeszcze ze sobą jeździli na wyścigi?

— Po co? Przecież już stanąłeś — „u mety...“ — odparł pan Stefan z lekką goryczą.

— A cóż się dzieje z tymi, którzy nie przyszli do mety? — zapytał żartobliwie p. Jędrzej.

— Tracą swoją wkładkę, i jeśli mają rozum, to więcej już nie stawają do wyścigów...

W kilka tygodni później odbył się ślub pana Jędrzeja z Anielcią.

Pan Stefan bywał u państwa Jędrzejów rzadko. Pana Jędrzeja nazywał zawsze „niepraktycznym mazgajem“ i „fantastą“ i — nie ożenił się do tej chwili.

K O N I E C.

Stanisław Moniuszko.

(Dokończenie).

W życiu wielkich ludzi, nigdy nie chodzących ścieżkami ubitemi, prawie zawsze jakiś wypadek zewnętrzny kieruje ich krokami. Moniuszko niezaprzeczenie od dzieciństwa miał sobie wytkniętą karjerę muzyczną, ale dopiero jego pierwsza, i dodajmy ostatnia w życiu miłość zdecydowała o statecznem zaopatrzeniu się na tej drodze w potrzebne wiadomości naukowe. Zakochawszy się bowiem w siedemnastym roku życia w przyszłej swojej żonie, pannie Aleksandrze Müller, córce Ksawerego i Marji z Zakrzewskich Müllerów, jakkolwiek sam był świetną partją, nie mniej przeto otrzymał zezwolenie matki pod tym jedynie warunkiem, że sobie stały zawód obierze. Odtąd Moniuszko postanowił kształcić się na artystę muzycznego, i w tym celu w r. 1837 udał się do Berlina, gdzie oddał się studjom muzycznym, porządnie prowadzonym pod kierunkiem znakomitego teoretyka C. F. Rungenhagena. Atoli ten nauczyciel zdaje się cenił wyżej przymioty duszy i charakteru swego ucznia jak jego zdolności kompozytorskie, których jako Niemiec należycie ocenić od razu nie potrafił. A tylko swej pilności i pracowitości zawdzięczał, że mu profesor podczas swojej nieobecności powierzał prowadzenie chórów, oraz dopuszczał na koncertach publicznych w Berlinie do akompanjowania występującym śpiewakom. To mu nadało wprawę do uczenia pojedynczych i zbiorowych śpiewów, i owego niezrównanego akompanjowania, w którem później tak celował. W roku 1839 Stanisław ukończywszy studja zagraniczne wrócił do domu, dla odebrania najwyższej nagrody, ręki swojej żony, którą pojął w roku następnym.

Jak widzimy, zapał do studjów muzycznych ograniczał się na niezbędnem; a całą swoją wielkość nasz niezrównany mistrz zawdzięcza własnej genjalności i swojskiemu otoczeniu, które nadało jego twórczej zdolności tak wybitne piętno oryginalności. Muzykę klasyczną znał wybornie, ale ponad wszystkich mistrzów niemieckich wynosił Chopina, którego kochał szalenie. I nie mogło być inaczej; oryginalność i wielkość obydwóch mistrzów spoczywała we wspólnem źródle motywów narodowych.

Pierwszych sił swoich artystycznych, Moniuszko doświadczał w Wilnie, gdzie osiadłszy z młodą żoną w domu zacnej świekry, z powodu zrujnowanego do reszty majątku przez swego ojca, był zmuszony udzielaniem lekcyj muzyki zarabiać na utrzymanie całej rodziny. Chociaż walka z losem była udziałem całego jego życia, bynajmniej nie osłabiała w nim ani zamiłowania do sztuki, ani najszlachetniejszego przymiotu dusz wielkich, miłości bliźniego i ojczyzny. — Przyzwyczajony od dziecka do dostatków i zachcianek pańskich, miał mnóstwo potrzeb, co wszakże nie przeszkadzało mu zapominać o nich i biedz z pomocą skwapliwą, ilekroć kto zakołatał do jego litościwego serca. Zamiast urządzić koncert na dochód własny, ileż razy obracał z niego dochód na korzyść jakiej biednej rodziny lub ucznia potrzebującego wsparcia!

Na dowód, jak wysoce było rozwiniętem w duszy jego uczucie, podajemy następujące fakta zacytowane w dziełku p. Walickiego. — W roku 1845 Moniuszko dawał koncert w Wilnie na korzyść wdowy po śpiewaku Sosnowskim, i sam kierował orkiestrą. W tak trudnych był jednak wtedy okolicznościach, że nie miał za co sprawić sobie nowych butów, i dyrygował, mając jednę nogę w bucie zwyczajnym, a drugą w futrzanym.— Innym faktem w tym rodzaju były koncerta na dochód niezamożnych studentów warszawskiego uniwersytetu, po przeniesieniu się jego do Warszawy. W wydatkach przywiązanych do tych koncertów, był niesłychanie oszczędnym; i tak dalece to posuwał, że przedkoncertowe sprawy pieszo załatwiał, a jeśli był zmuszony wziąć dorożkę, nigdy tego wydatku nie podawał, lecz sam go ponosił. Był też ubóstwiany przez młodzież szkolną tak wileńską jak warszawską. Hojność Moniuszki nie wychodziła jednak na korzyść jego stanu finansowego — to też do samego zgonu niedostatek zawsze mu dokuczał. Ale jak przystało na wielkiego człowieka, miał wstręt do zbierania pieniędzy i nawet je lekceważył. Przy podobnem usposobieniu oraz chwalebnym zwyczaju wydawców wyzyskujących autorów, nic dziwnego, że jak najgorzej spieniężał swoje prace. Wielce charakterystycznemi bywały zwykle jego odpowiedzi, na uwagi przyjaciół, robione mu w tym przedmiocie.

— Bądźcie spokojni! — odpowiadał. — Dopóki żyję, to mi kompozycyj nie zabraknie, i na chleb wystarczy. A po śmierci mojej jestem pewny, że kompozycje moje lepiej ocenią i rodzinie mojej na niczem zbywać nie będzie.

Naród powinien zastanowić się nad ufnością pokładaną w nim przez wielkiego mistrza, i tem skwapliwiej złożyć daninę dla sześciorga sierót po nim pozostałych.

Szczerze przywiązany do religji i nabożeństwa, Moniuszko nie tylko słowa, ale i ducha nauki Chrystusowej odźwierciadlał wiernie w swoich uczynkach. Był on niesłychanie pobłażliwym a przytem przystępniejszym dla wszystkich, zwłaszcza dla młodzieży, na którą tak rozmową, jak przykładem wielki wpływ wywierał. Często osoby bez wykształcenia umysłowego i biernej moralności nudziły go swojem obcowaniem. Na rady dawane mu przez znajomych, by się pozbył niepotrzebnych nudziarzy, odpowiadał:

— Czyż to jego wina, że jest takim? A gdybym go odepchnął, któż go znać zechce?

Za dobrodziejstwa i dobre rady otrzymywał najczęściej w zamian niewdzięczność a nawet zdradę lub krzywdę. Najulubieńszą wtedy jego zemstą było usilne staranie: odpłacić dobrem za złe.

Nie wynurzał się wprawdzie na zewnątrz z uczuciami, owszem był skrytym raczej; ale za to

kłamstwo najmniejsze nie skalało nigdy ust jego. By nie skłamać w najniewinniejszej nawet rzeczy, na rzucone pytania dawał wymijające odpowiedzi, lub całkiem milczał. Nie dowodziło to, aby nie był otwartym przed lepszymi znajomymi; tym którym wierzył, otwierał najskrytsze zakątki serca. Są to cechy zwykle dusz delikatniejszych, nieustannie troskliwych o to, by otwartość nie przeszła w grubjaństwo lub cynizm. Że delikatność była prawdziwym przymiotem jego duszy, znajdujemy na to dowód w czystości jego obyczajów: prócz żony, żadnej kobiety w życiu swojem nie kochał. Ci co znają bliżej skłonność kobiet do wszelkiego rodzaju wielkości, zrozumieją, jak głęboko i na jak szlachetnych właściwościach serca to uczucie było oparte. Nie przeszkadzała mu w tem powierzchowność, bo jakkolwiek nie zbyt kształtnie był zbudowanym, w twarzy jego ujmującej błyszczała największa ozdoba, gwiazda promienna genjuszu.

Moniuszko był wzrostu miernego, kości szerokich, barczysty i głowę miał stosunkowo za wielką do reszty budowy; szyję krótką i grubą, wcześnie nabrał dużo ciała, chociaż na lat kilka przed śmiercią znacznie schudł; na jedną nogę utykał, bo była nieco krótszą. Za to twarz miał wyrazistą i czoło wysokie, szerokie, jasne i czyste; nos kształtny i oczy błękitne. One to głównie nadawały fizjonomji wyraz zapału i wysokiej inteligencji; usta miał wąskie i zaciśnięte, jakby były siedliskiem ironji, dowcipu i figlarności, lecz w chwilach rozczulenia, tchnęły one dziwną tkliwością i łagodnością. Był nadzwyczaj grzecznym i delikatnym, a przy tem miał ruchy dystyngowane, znamionujące wielkie obycie się ze światem.

Te cechy pięknej duszy, kojarzyły się z powszechnym przymiotem wielkich ludzi, niezrównaną pracowitością. Pracował zwykle kilkanaście godzin dziennie; kładł się około północy a nawet później, wstawał zaś o 5 zrana; brak nocnego snu wynagradzał krótkim poobiednim wypoczynkiem. Tej silnej i wytrwałej woli, towarzyszyła ogromna zdolność twórcza. Łatwość miał niesłychaną. Flisa np. całego napisał we cztery dni; było to w Paryżu podczas wielkich upałów, dla obronienia się od których pozamykał okienice w pokoju, pozapalał świece i tak długo pracował, dopóki całego nie skończył. Komponował przy tem zadziwiająco prędko.

Za pobytu w Mińsku (litewskim), poszedł raz ze znajomym na bilard; grał w najlepsze, gdy mu podano świeżo napisany wierszyk okolicznościowy, zaczynający się od wyrazów: „Kiedy świat ten sprawiedliwym.“ Po uważnem przeczytaniu, dalej grał w bilard; naraz zaprzestał i znalazłszy kawałek papieru, napisał na tymże samym bilardzie śliczną do tego wierszyka piosenkę, poczem do gry wrócił. Innym razem przyszli do niego dwaj przyjaciele, którzy mu zaproponowali urządzenie kwartetu. Nie było jednak pod ręką tylu osób.

— Poczekajcie chwileczkę — powiedział idąc do biórka — zaraz wam służyć będę.

Sądzono, że chce napisać kartkę do kogo.

W minut dziesięć, wstał od biurka i podał gościom kanon na trzy głosy: „Wlazł kotek na płotek.“ Kiedy kanon został prześpiewany, nadchodzi czwarty śpiewak. Nie później jak w kwadrans, Moniuszko napisał drugi kanon czterogłoskowy do dwuwiersza Brodzińskiego:

Piotr z Pawłem w ważnej kłótni nigdy się [nie zgodzi:
Piotr nie wie o co idzie; Paweł o co chodzi.

Połączone razem: twórczość, płodność i łatwość dały mu możność w krótkiem życiu wydać drukiem: przeszło dwieście śpiewów, dwadzieścia oper i operetek, trzydzieści kilka mszy i kompozycyj religijnych, oraz osiem większych kantat i kilkanaście innych kompozycyj. A ileż to różnych rzeczy zobaczymy w pośmiertnem wydaniu! Nie mniej był czynnym w rozszerzaniu swych pomysłów muzycznych i nie tylko Wilno, ale i cała Litwa nauczyła się śpiewać od Moniuszki. Nie przesadzimy zdaje się, gdy to pojęcie rozszerzymy i na całą Polskę. Śpiewać po polsku, na polską nutę, nauczył nas ten ukochany mistrz litewski. „Chochlik“ „Łzy“ „Świtezianka“ a mianowicie ta ostatnia, gdy się pierwszy raz ukazała zachwyciła Polskę całą. A cóż dopiero mówić o operze polskiej, której on jest właściwym twórcą? Żadne sprawozdania ówczesne nie są w stanie opisać tego zapału i uniesienia, z jakim na sam nowy rok w 1858, przywitano „Halkę,“ w Warszawie. Wtedy to powiedziano: mamy własną operę, i słusznie.

Gdzie leżało źródło tej twórczej potęgi u Moniuszki?

W głębokiej miłości i przywiązaniu do tego, co swojskie; duch jego rozumny i wzniosły, czerpiąc w zdrojach patrjotyzmu, tworzył cuda w świecie muzycznym. Artyzm jego nosił na sobie piętno genjalnej oryginalności, bo z swojskich motywów zaczerpnął, przyłożywszy ucho do olbrzymiego łona narodu. Wybredny znawca melodji, na najpiękniejsze obce miał serce zamknięte. W Paryżu mawiał do swych znajomych: Ładne to rzeczy, ale nie nasze.“ W jednym liście mówi: „Nie powodzi mi się w obcej sferze, w której wyglądam jak murzyn na biało malowany.“

Wynurzając się przed jednym z przyjaciół, pisał: „Jeśli kocham pracę, to ją kocham jako uczciwy środek przyczynku dla kraju!“ Biograf jego tak się wyraża: „Do tego stopnia narodowość była rdzenią jego istoty, że nic uczuć, nic pomyśleć nie mógł poza jej obrębem, i bez jej udziału.“ Genjalną naturą owładnęło potężne uczucie miłości ojczyzny, czego następstwem musiały być utwory doskonałe.

Zaparcie się posuwał Moniuszko do tego stopnia, że nie wstydził się na początku zostać organistą lub dyrygującym orkiestrą kościelną; pierwszy obowiązek pełnił u św. Jana, drugi w Ostrej Bramie, w Wilnie. Dopiero w r. 1858 został dyrektorem opery w Warszawie. — Nic zrazić go nie mogło do ojczyzny, nawet to, że pierwsze uznanie jego talentu wyszło od wrogów, od Moskali, a nie od swoich. Wystąpienie z „Mildą“ w r. 1849 w Petersburgu zrobiło mu rozgłos europejski, ale mistrz patrjota jakby chcąc pomścić tej klęski uczuć patrjotycznych, przed Mildą wykonał „Bajkę“ (*Conte d' hiver*), której myśl krwawy sarkazm na Moskali zawiera. Mieszkańcy carskiej stolicy nie zrozumiawszy tego, bili brawa jak szaleni, i zarzucili pysznemi bukietami estradę. Hołdy jakie mu składali dygnitarze państwa, pierwsi artyści, arystokraci, nie zawróciły mu głowy; zaraz po koncertach powrócił do Wilna, do biedy i troski o chleb powszedni. To namiętne przywiązanie do kraju, wypłacało mu się sowicie: do duszy wieszcza płynęły wielkie i wzniosłe myśli, które tak cudnie umiał następnie ubierać w skarby tonów i melodji.

Można wnosić z jego odezwania się na kilka miesięcy przed śmiercią, że ją przeczuwał, pomimo, że nagle nastąpiła. Radzono mu 1872 r., aby robił starania o wznowienie na scenie warszawskiej „Strasznego dworu,“ na co jednak wieszcz odpowiedział:

— Niech się zachowa na oeuvre posthume, wtedy głośniej klaskać będą — a po chwili dodał. — I nie zbyt długo czekać na to będziecie!

W rzeczy samej tegoż samego roku 1872, dnia 4 czerwca mając pięćdziesiąt trzy lat skończył nagle na porażenie serca. Stutysięczny tłum żałobny rodaków pogrzebał zwłoki jego na Powązkach z niesłychaną okazałością. Ale miejscem właściwem na grób Stanisława Moniuszki— Wawel.

Któż nieśmiertelnego pieśniarza litewskiego zastąpi? — ten kto po nim myśl odziedziczy razem z miłością ojczyzny!

Myśli o najnowszym kierunku w historji

przez

Bolesława Czerwieńskiego.

(Dokończenie).

IV.

Pozwolimy sobie zrobić tutaj jedną uwagę. Walka przeciw naturze znalazła w wielu religjach swoje uświęcenie, między innemi także i w religji chrześcijańskiej, która naturę identyfikuje nawet czasami z szatanem. Zasada ta wyrodziła wiele dziwacznych sekt uważających za środek zbawienia zupełną abnegację ciała, a wypływem jej jest także instytucja zakonów. Zasuszony pustelnik w Tebaidzie lub mnich w cenobicznym zakładzie na Monte Cassino, maltretowali ciało w najróżnorodniejszy sposób, byle zupełnie wyzwolić swego ducha z pod jego wpływu. Nie należy nas posądzać, jakobyśmy ten sposób uwalniania się z pod wpływów natury, uważali za potrzebny i korzyść przynoszący. Wszyscy rozsądni ludzie zaprzestali już uważać ciało za szatana, a znęcanie się nad niem, za czyn Bogu przyjemny. Walka z naturą nie ma na celu zniweczenia jej, co byłoby obłąkanem marzeniem, ale tylko spożytkowanie jej objawów pożytecznych na korzyść człowieka, a usunięcie szkodliwych. Człowiek nie niszczy natury, co nie jest w jego mocy, tylko ją ujarzmia i spożytkowuje jej siły dla siebie. Ciało człowieka nie jest jego nieprzyjacielem, ale największym dobrodziejem, bo tylko za jego pomocą może duch objawiać się na zewnątrz. Zniszczymy ciało, a zniszczymy człowieka. Do tego prowadzi ascetyzm, który jako zbrodnia popełniona na człowieczem ciele, jako systematyczne powolne samobójstwo, powinien być uważany za zbrodnię, a nie za cnotę.

Co do drugiego: Walka z naturą zmusiła człowieka do zawiązania społeczeństw. Początkowo ludzie byli zupełnie wolnymi i każdy był panem samego siebie i zaspakajał swe potrzeby, w sposób zupełnie dowolny. Wolność ta jednak była najsroższą niewolą: człowiek musiał to tylko robić, co mu zewnętrzna i wewnętrzna natura nakazywała. Gdy człowiek zaczął z nią walczyć w celu ujarzmienia jej, instynktowo przyszedł do przekonania, że wspólne usiłowania dają pewniejszą nadzieję zwycięstwa niż usiłowania pojedyńczych. Ależ społeczeństwo nie może istnieć bez praw, a każde prawo jest ograniczeniem osobistej wolności pojmowanej w najobszerniejszym

zakresie. Człowiek uspołeczniwszy się uwolnił się z jednej strony od wielu wpływów natury, którymby musiał długo podlegać żyjąc pojedyńczo, z drugiej zaś stał się niewolnikiem nałożonego samemu sobie prawa. Społeczeństwo nie może się utrzymać bez władzy, a idealnej władzy, któraby nigdy nie nadużyła swej potęgi, nigdy na świecie nie było. W krótkim czasie, gdy społeczeństwa połączyły się w państwa, naczelnicy pojedyńczych gmin zmuszeni zostali ulegać jednemu reprezentującemu abstrakcyjne pojęcie państwa, przeprowadzono centralizację władzy przez gwałty i nadużycia, nie można bowiem przypuścić, ażeby ludzie realne korzyści, jakie im przynosiło urządzenie gminne, bez oporu zamieniali na abstrakcyjną ideę państwową, której pojąć i korzyści zrozumieć nie mogli. W najstarożytniejszych państwach widzimy uorganizowane i religją uświęcone kasty, z których jedna od drugiej miała mniej praw, a na spodzie wszystkich znajdujemy niewolnictwo, w społecznem tego słowa znaczeniu. Władza przerodziła się w okropną tyranję, a widząc zkąd powstała, starała się uprawnić za pomocą religijnych wyobrażeń gwałtem lub podstępem narzuconych ciemnemu ludowi. Ludzkość przez cały bieg swoich dziejów przedstawia się jako podzielona na dwie części: panów i niewolników. W państwach despotycznych tylko jeden był prawdziwym wolnym człowiekiem, król, w starożytnych republikach panami tymi była pewna, stosunkowo nieliczna klasa. System niewolnictwa zżył się przez długie wieki tak z ludzkością, że zdawał się nie do obalenia. A jednak przewrócił go z gruntu jeden człowiek, ubogi Żydowin, syn Boży — Chrystus. Idea chrześcjańska zniosła system niewolnictwa de jure, ale potrzeba było 18 wieków, aby zniszczyć go i to tylko częściowo de facto. Dokonała tego wiekopomna rewolucja francuska ogłoszeniem praw człowieka i orężnem wywalczeniem uznania tych praw. W Europie i Ameryce niewolnictwo w właściwem pojęciu tego wyrazu już nie istnieje, a jeżeli objawia się jeszcze w odmiennych formach (ucisk pracy przez kapitał), to znowu z drugiej strony, wszystko wskazuje na to, że i te stosunki wkrótce zmienić się muszą. Już w wielkiej części krajów ludzie żyją swobodnie pod osłoną łagodnych praw, które według potrzeb zmieniają.

Co do punktu trzeciego: Fetyszyzm pierwotnych ludów był naturalnym wypływem wszechwładnego panowania przyrody nad człowiekiem. Człowiek uważał naturę za wszechwładną, a właściwie te objawy, którym najwięcej ulegał, nie dziw też, że budziły one w nim zabobonną cześć, którą on objawiał na zewnątrz oddając pokłony rzeczom bezmyślnym, a podług naszych pojęć przeznaczonym na usługi człowieka. Im bardziej człowiek zaczął uwalniać się z pod wpływów natury i ujarzmiać siły przyrody, tem bardziej rozszerzały się jego pojęcia religijne: od fetyszyzmu przeszedł do kultu ognia i sabeizmu (czci gwiazd), a następnie zaczął siły przyrody, które mu jeszcze potęgą swą imponowały, antropomorfizować. Człowiek nie mogąc określić abstrakcyjnych pojęć, które czuł, oblekał je w szatę cielesną człowieka. Bujne mitologje rozmaitych ludów pozostaną na zawsze świetnym pomnikiem ich twórczej fantazji. Człowiek był pierwej poetą, a potem dopiero myślicielem. Antropomorfizowanie sił natury zabiły nauki doświadczalne i powstała chwilowa próżnia przerażająca swoją okropnością w czasach rzymskiego cesarstwa. Ludzkość jednak już była zdolną do pojęcia abstrakcyjnego Boga, jako bezcielesnej siły. Pojęcia te wyłoniły się w krótkim przeciągu czasu w dwóch miejscowościach Azji: w Indjach powstał buddaizm, w Palestynie chrześcjanizm. Obie te religje wyznające jednego, bezcielesnego Boga, są obecnie panującemi na ziemi: z religij autropomorficznych pozostały zaledwie szczątki, a i te wkrótce znikną. Stopniowo z pojęciami religijnemi rozwijały się także pojęcia moralności. Początkowo jedynem prawem moralności, jeśli godzi się użyć tego wyrazu, była siła fizyczna. Im bardziej człowiek uwalniał się z pod wpływów natury, tem większym pojęcie moralności ulegało zmianom, a obecnie w religji chrześcjańskiej zasadą moralności nie jest siła fizyczna, tylko miłość. Siłę fizyczną zastąpiła — siła duchowa — natura nie zna miłości, tylko człowiek. Prawo natury pozwala np. człowiekowi na wszelkiego rodzaju zbrodnie względem swoich współbraci, byleby one przyniosły mu korzyści, moralność duchowa zakazuje mu tego bezwzględnie.

Porównując stan praczłowieka z teraźniejszym, postęp we wszystkich kierunkach jest tak widoczny, że zdaje się, iż nie ma nikogo, ktoryby jego istnieniu zaprzeczał. A jednak znachodzą się uczeni materjaliści*), którzy zaprzeczają postępu, twierdząc, że jest on jedynie widocznym w ulepszeniu codziennego życia, w wygodach, w komforcie i utrzymują, że człowiek nie stał się przez wieki ani lepszym, ani moralniejszym. Jest to wynikiem jednostronnego, fanatycznego uważania człowieka za nic więcej jak tylko za masę kości i muszkułów. Historja i statystyka zbijają to zapatrywanie. Pierwsza wykazuje jak idee, które dawniej były nie znane ludzkości lub przystępne pojęciu tylko niewielkiej, wybranej liczbie indywiduów, stały się własnością ogółu (np. idea równości wszystkich ludzi wobec prawa, do której nie mogli się wznieść filozofowie greccy i rzymscy przedarła się teraz nawet w najniższe warstwy europejskiego społeczeństwa, statystyka zaś kryminalna poucza, że ilość zbrodni popełnionych z samowiedzą, daleko jest większa między ludźmi nie oświeconymi, niż wykształconymi.) Historja wykazuje nam następnie, że formy zewnętrzne postępu polegające na ulepszeniu wygód życia, często bezpowrotnie ginęły (Grecja i Rzym zalana przez barbarzyńców) i że ludy musiały wytwarzać je sobie na nowo, podczas gdy w uspołecznieniu, pojęciach religijnych i moralnych bez przerwy śledzić można systematyczny rozwój.

Widzieliśmy jak człowiek uwalniając się z pod brutalnych wpływów natury i ujarzmiając ją pod swoją władzę, zmieniał się stopniowo i przechodził w coraz doskonalsze stany, jak myśli jego stawały się coraz rozleglejszemi i bardziej zbliżonemi do prawdy, jak urządzał się w coraz doskonalszy sposób, jak moralność jego coraz bardziej stawała się duchową. Uwalnianie się z pod wpływów natury i ujarzmianie jej jest jedynym warunkiem, a zarazem probierzem rozwoju. Czemże więc jest cywilizacja? *Cywilizacja jest dążeniem ludzkości do bezwzględnego, wszechstronnego dobra za pomocą uwalniania się z pod brutalnych wpływów natury i zużytkowania ich w sposób wolny i rozumny na swoją korzyść.* Oto odpowiedź na pierwsze przez nas postawione pytanie.

Ażeby odpowiedzieć na drugie pytanie: Jakim sposobem cywilizacja ta powstała, potrzeba nam zapuścić się w nieco zawiłe spekulacje, które będziemy się starali przedstawić w jak najjaśniejszy sposób. To co jest, to i było. Materjaliści uważają za wieczną: materję i przywiązane do niej siły, religja chrześcijańska i filozofowie idealiści uważają ducha za wiecznego. Zadowolimy wszystkich, jeżeli powiemy, że człowiek skoro tylko ukazał się na ziemi, przyniósł z sobą siłę do cywilizacji, w przeciwnym bowiem razie nie mógłby się wznieść ani o stopień po nad stan pierwotny. Siła ta spoczywała w nim spowita zewsząd wpływami natury, jak iskra pod popiołem, była doskonałą, była całokształtem jego cywilizacji: ujawnienie się jej na zewnątrz — oto historja duchowego rozwoju człowieka. Siła ta, która popchnęła człowieka do cywilizacji, musiała być innej natury, aniżeli siła przyrody, przywiązana do materji, w przeciwnym bowiem razie będąc równą sile natury, nie mogłaby nad tą ostatnią odnieść żadnej korzyści, a po drugie, musiała być wolną w przeciwieństwie do sił natury podlegających prawom*). Siłę tę nazywamy *wolną wolą*. Przeciwnicy wolnej woli człowieka zaprzeczają jej istności twierdząc, że człowiek nie może nic uczynić, czego by mu natura nie nakazała, a przynajmniej, na coby mu nie pozwoliła. Jest to śmieszny argument. Człowiek jako istota cielesna, a więc podlegająca co do ciała prawom natury nie może np. zniweczyć siły przyciągania ziemi i chodzić dajmy na to po powietrzu bez przyrządu, tak samo jak chodzi po ziemi. Gdyby człowiek coś podobnego potrafił, przestałby być człowiekiem i musiałby być czystym duchem. Ale człowiek może czynić takie rzeczy, które się nie sprzeciwiają prawom natury, a jednak nie są jej wypływem, może w każdej chwili (nb. w normalnym stanie) skierować swoją myśl do nieobecnego przedmiotu, a nawet do takiego, który w naturze nie istnieje, może czuć i pojmować abstrakcje. Faktem jest, że otaczające człowieka przedmioty wywierają wpływ na jego umysł przez zmysły, a jednak człowiek patrząc na martwy przedmiot, może w tej samej chwili myśleć o ukochanej osobie, którą widział przed laty. Jakże to wytłumaczyć, cóż jest tego przyczyną? Pytanie to usuwające się zupełnie od dowodów doświadczalnych, skłonić musi stanowczo do przyjęcia wolnej woli człowieka. Jeden z największych między historykami przeciwników wolnej woli, Buckle, używa następującego argumentu: Jeżeli materja istniejąca w czasie i przestrzeni podlega prawom, jakże im nie ma podlegać duch, nie znajdujący się w tych warunkach? Argument ten nie wykazuje, żeby duch podlegał choć w przybliżeniu podobnym prawom jak przyroda, prawa te, którym rzekomo duch podlega, stosują się tylko do materji. Duchowe czynności człowieka podlegają o tyle tylko prawom, o ile posługują się materją i ujawniają się przez nią. Mówiąc innemi słowy: skutek podlega prawom, a nie

---

*) Helwald, Culturgeschichte str. 19 22 i 702.

*) Według materjalistów siła nie podlega żadnym prawom, kierunek jej nie jest prawem, tylko własnością. Widzimy jednak, że siły naturalne działają z zadziwiającą logiką w przyrodzie podług pewnych nieodmiennych praw — np. siły przyciągania i odpychania, czy te prawa są ich bezmyślną własnością, czy też zostały im nadane, to bynajmniej nie może zbić faktu, że istnieją. Gdy widzę człowieka idącego, nie potrzebuję wiedzieć, czy czyni to z własnej woli, czy na rozkaz drugiego, a mimo to mogę skonstatować fakt, że idzie. Śmieszną jest rzeczą, że filozofowie pozytywni, którzy rzekomo zrywają z wszelkiemi abstrakcjami, broniąc swych myśli uciekają do sztuczek sofistycznych, którychby im mogli pozazdrościć średniowieczni scholastycy.

przyczyna. Dalej walczy Buckle przeciw wolnej woli doświadczeniami, a szczególniej datami statystycznemi*), zapomniawszy widocznie, że w kwestjach abstrakcyjnych dowody a posteriori nie mogą być dostatecznemi, tylko dowody a priori, na które w ogóle materjalistyczni filozofowie mało zwracają uwagi.

Cywilizację przyniósł człowiek ze sobą na ziemię, ona istniała od wieków, ale zaczęła się objawiać powoli, stosunkowo do uwalniania się człowieka z pod hegemonji natury.

Jaki cel ma cywilizacja? Materjaliści, którym jak to nie w jednem miejscu widzieliśmy, wszystkiego raczej można odmówić, tylko nie konsekwencji, zwalczają usilnie celowość w przyrodzie i dziejach, a teleologję**) (naukę o celowości) uważają za niepożyteczną mrzonkę. Według nich, świat i wszystkie jego objawy, a więc i dzieje istnieją tylko, żeby istnieć bez żadnej racjonalnej przyczyny i celu. Nic łatwiejszego jak zbić to zdanie nieubłaganą logiką. Nikt nie zaprzeczy, że cały świat materjalny podlega prawom, a mówiąc wyrazem materjalistów siłom, których owe prawa są własnością tak np. jak zajmowanie przestrzeni jest własnością materji. Cudowna harmonja wszechświata i same już istnienie jego zmuszają do uznania tych praw za rozumne. Pojęcie zaś rozumu z pojęciem celowości jest nierozdzielne: to, co nie ma celu uważamy za bezrozumne i głupie. A więc istnienie świata i człowieka na ziemi nie jest bez celu. Człowiek jako istota cielesna jest mimo swego duchowego pierwiastku cząstką natury. Ażeby więc oznaczyć ostateczny cel istnienia człowieka potrzeba określić cel istnienia całego wszechświata, którego on jest cząstką. Wyjaśnienie to jest i pozostanie na zawsze niemożliwem, leży bowiem po za granicami pojęcia człowieka, a wszystkie możliwe teorje na nic się nie przydadzą, bo nie mogą być żadnemi poparte dowodami. Wytłumaczenie tego wymaga najprzód definicji takich pojęć jak, czas, przestrzeń, bezgraniczność itd., których badanie już dawno jako niemożliwe zarzucone zostało. Jakkolwiek jednak nie możemy wiedzieć celu istnienia człowieka, logicznie dowiedliśmy, że ten cel istnieje, a zarazem musi być dobry i rozumny. To wystarcza. Cywilizacja jest stanem człowieka, a nie jego istotą, jest środkiem do jakiegoś nieznanego celu, a nie celem samym. I ona jednak ma swój cel, który wytknąć musimy. Człowiek dąży do spokojnego, szczęśliwego bytu na ziemi, to jest jego ziemski ideał — walka jest mu wstrętną i podejmuje ją tylko z konieczności. Człowiek, jako cząstka natury, wtedy tylko będzie szczęśliwy, gdy będzie z nią w niezamąconej zgodzie. Zgoda tam tylko jest trwałą, gdy obie strony są równo potężne. Pierwotny człowiek nie mógł być szczęśliwym i spokojnie spędzać swój żywot, albowiem natura była za potężną, była jego panią, a on jej sługą. Zaczął więc z nią walczyć za pomocą swego duchowego pierwiastku, a walka ta toczy się ciągle i nie zakończy, aż człowiek zwycięży. Wtedy nastąpi na ziemi spokój, harmonja i szczęście. Kiedy to nastąpi, któż wiedzieć może, ale że nastąpi, wątpić nie należy. Na pięknej ziemi ludzie wolni, szczęśliwi, żyjący w harmonji z uległą im naturą, oto ideał, któremu powinniśmy poświęcić — wszystkie nasze prace!

*) Jako dowód przeciw istnieniu wolnej woli przytacza, że nawet czynności ludzkie, jak np. zapomnienie pewnej rzeczy, które zdają się wypływać tylko z przypadku podległe są prawom — i tak statystyka wykazuje, że w Londynie wrzucają do pocztowych skrzynek przeciętnie rocznie tysiąc nie zaadresowanych listów.

**) Z greckiego *telos* znaczy koniec, cel, a *logos* słowo, mowa, pojęcie, nauka.

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

IX.

(Krokodyle — ich odmiany — zwyczaje — sposoby polowania — wypadki).

Na krańcowym wschodzie Indyj znaczna jest ilość krokodyli; wszystkie rzeki, stawy, wybrzeża morskie, bagniska są niemi przepełnione, a jako stworzenia ziemnowodne, dają się one często spotykać nawet w środkowym kraju. Nie oznacza to bynajmniej, by wszystkie odmiany tam się znajdowały.

Krokodyl klasyczny napotykany w Egipcie i na wybrzeżach Azji Mniejszej, a opisany przez dawnych naturalistów znajduje się i w Indjach. Paszcza jego długa, tępo zakończona i wklęsła, uzbrojona jest w zęby nierówne, z których czwarte od brzegu, dopełniają swej czynności przez otwór wierzchniej wargi. Barwa zielonawo bronzowa, nakrapiana brunatnemi plamami na grzbiecie, jaśnieje po bokach i wpada w cień żółtawy pod brzuchem. Sześć rzędów szerokich czworograniastych łusk, zdobi całą długość pacierza, nogi płetwowate rozszczepiają się w zęby u samego końcowego obwodu. Krokodyl Nilowy jest jedną z odmian tego gatunku.

Gavial nie wiele różni się od wyżej opisanego egzemplarza, paszcza jego jest tylko krótsza i okrąglejsza, kończy się wypukłością chrząstkowatą zadartą w tył, a zęby ma prawie równe: ojczyzną jego są Indje. Kaiman należy do nowego świata, jego paszcza jest o wiele szersza, zęby bardzo nierówne, palce do połowy połączone błoną, a nogi nierozszczepione przy końcu. Do tej familji należą: Aligator, kaiman okularnik, i Kaiman z paszczą szczupaka, zamieszkujący obie Ameryki.

W Egipcie szarlatani wyrywają zęby lądowym krokodylom dla łatwiejszej dresury; w Indjach i w Birmanji dochodzą do tego stopnia doskonałości w tej sztuce, że je oswajają w stanie wolności, jak o tem przekonałem się naocznie w klasztorze księży budystów.

W familji krokodylów, samiec odznacza się pożądliwością, samica płodnością, i zważywszy środki obrony i sposoby zaczepki jakiemi rozporządzają, łatwość schronienia się do wody gdy na lądzie grozi im niebezpieczeństwo, płazy te mogłyby wyniszczyć całą kulę ziemską, gdyby ważne niedogodności nie przeciwstawiły się tak jednostronnie szczęśliwie obdarzonej konstytucji. Skład kości pacierzowych u tych zwierząt, które związane z żebrami nadającemi szeroki zakrój wydętym bokom, łączą się z kościstym skieletem karku, pozbawionym stawów, czyni te potwory niezdolne do wszelkich zwrotów, do tego stopnia, że małe zboczenie w biegu uciekającego wystarcza dla schronienia się od szpon napastnika. Drugą ważną zaporą jest silny odór piżma pochodzący z cieczy klejowatej, wydzielającej się z gruczołów szczękowych przez dwa otwory umieszczone pod gardłem. Dla tych ujemnych stron rzadko kiedy mogą one zaskoczyć zwierzęta, zdolne staczać z niemi bójkę, a słabe stworzenia z łatwością uchodzą pogoni. Małe zaś drapieżniki łakome specjałów jakiemi dla nich są jaja krokodyle, po zapachu wynajdują kryjówkę w której samica zagrzebuje swój płód, często mimo wszelkich zabiegów z jej strony padający ofiarą żarłoczności samca.

Krokodyl nie je, lecz pożera, wszystko co mu się nadaje do pożywienia, każda rzecz mu smakuje, a jeżeli przedmiot porwany jest za wielki i twardy, naprzykład ćwiartka bawołu pokryta siercią, lub część słonia niepozbawiona jeszcze grubej skóry, natenczas zaciąga zdobycz wgłąb wody, gdzie po niejakim czasie zmiękczoną spożywa.

W Archipelagu Malajskim, Oceanie Indyjskim, na wybrzeżach Chin, krokodyle żyją pomięszane z gavialami, i każdy rodzaj dzieli się znów na podrodzaje różniące się między sobą barwą lub wielkością, ale zachowujące zawsze też same instynkta krwiożercze, też same środki zaczepne i odporne. Jedne są jaśniejszego koloru, drugie ciemniejsze, jedne dochodzą do 10 i 12 metrów długości, inne nie mają więcej nad 3 do 4. Po lądzie suną dość prędko, tylko że chrzęst łuski i świst gardłowy a nie krzyk (tego nigdy nie słyszałem) zdradzają ich bieg, za to w wodzie, która jest ich prawdziwym żywiołem, pływają z przerażającą szybkością i tam dopiero dają się rozwinąć całą swoją zwinność. Dłuższy czas potrafią posuwać się pod powierzchnią wody, i to stanowi jeden z ich częstych wybiegów; czasem nieruchomo puszczają się z prądem niby kłoda porwana wirem, w tej nieruchomej postawie dają się nieść do upatrzonego przedmiotu. Małe krokodyle czasem łapią się w sieć zastawioną na ryby, nigdy zaś duże i te co już doszły do całkowitego rozwoju muskularnego.

Krajowcy jedzą mięso z krokodyli usmażone i przyprawione korzeniami i winem, tłuszcz służy im do maszyn i oświetlenia, kości można użyć na komposty, a ze szpiku dałyby się zrobić pomady i maści. Niedawno przyszła komuś szczęśliwa myśl użytkowania skóry, która oczyszczona z łusk i wyprawiona nadała się wybornie do fabrykacji butów i trzewików. Obuwia te są miękkie, trwałe i nieprzemakalne, ślady tylko pozostałe po łuskach nie wszystkim przypadają do gustu.

Na polowanie krokodyli średniej wielkości zbiera się zwykle kilka osób i z zasadzki atakują je ręczną bronią; kule nie nadają się do takiej walki z powodu, że skóra na grzbiecie i brzuchu elastyczna i trudna do przebicia jest jeszcze osłonięta łuską odpierającą strzały. Kordelasem, szablą i piką zadaje się ciosy w paszcze, oczy, uszy, przy zgięciach i między szyją a dolną szczęką, toporem można oburącz rozstrzaskać czaszkę, natomiast kula karabinowa bardzo niepewne sprawia skutki i często odskakuje.

W pobliżu Rangunu widziałem kowala, który uderzeniem młota w głowę, zabił na miejscu krokodyla wielkości piętnastu stóp; potwór w czasie gdy kowal śniadał, zwabiony oliwą znajdującą się na miseczce, wśliznął się do jego kuźni. Byłem właśnie obrócony tyłem do drzwi i wykładałem jak ma być zrobiony przedmiot przezemnie obstalowany, gdy szelest jakiś i stukot zwrócił uwagę kowala, obejrzał się, to krokodyl wywracał miskę z oliwą. W jednej chwili powstał, uchwycił młot i przyskoczywszy do potwora zlizującego rozlaną ciecz po podłodze, z całą siłą spuścił potężną broń zaostronym końcem w sam

środek czaszki, mózg się rozbryzgał, zwierz czas jakiś miotał się jeszcze konwulsyjnie, ale cios był doskonale wymierzony i w parę minut wszystko było już skończone.

Wielkich rozmiarów krokodyle są bardzo trudne do zabicia, natomiast łatwo je zestraszyć i spowodować do ucieczki, tylko nadto blisko podsuwać się do nich jest zawsze niebezpiecznie. Dla tego też najczęściej łapią takie potwory w jamy jak słonie, z dodatkiem przynęty z prosięcia, kozy, lub jagnięcia wygłodzonego, ażeby kwikiem czy beczeniem zwabić do nich jaszczury. Gdy już wpadną w dół, podpala się pod niemi ogień z gałęzi i piecze. Pomimo swej strony dogodnej i nienarażającej na szwank, sposób opisany nie jest wcale rozweselający ani też przyjemny; takie autodafé sprawiają wyziewy bynajmniej nie balsamiczne mimo piżma wydzielającego się wraz z odorem skwarzonych krokodyli.

Nikt by sobie nie wyobraził jak wielkim jest kontyngens corocznie przez krokodyli porywanych dzieci na wybrzeżach Indji i Indo Chin. Dorosłe nawet osoby nie są więcej szanowane przez tych pożeraczy ciał ludzkich, a głównie kobiety, zamiłowane w rzecznych kąpielach, padają ich ofiarą. Nad wieczorem lub rano zbiera się zwykle towarzystwo z kilkunastu niewiast i zaopatrzone w kociołki, rądle, cymbałki, bębny i tym podobne hałaśliwe instrumenta ze śmiechem i krzykiem oddają się upodobanej rozrywce. Wrzawa taka nie zawsze jednak odstrasza tych żarłoków i często zabawa zamienia się w pochód żałobny, kobiety, dziewczęta, dzieci uchodzą przerażone, a na drugi dzień zbierają się by oddać ostatnią przysługę zwłokom poszarpanym towarzyszki ich rozrywek. W tydzień trwoga preminęła, powracają do rzeki, którą krokodyle nie myślały opuścić.

Parę lat temu syn przemysłowca z Kalkuty ożenił się z bogatą dziedziczką, córką posiadacza wielkich dóbr w okolicach miasta. Świetne gody weselne trwały już dni kilka, a na ich zakończenie miano się udać do rezydencji rodziców panny młodej, co było jej gorącem życzeniem. W każdym innym czasie, powozy najemne rozpowszechnione w Kalkucie, z łatwością mogły były przewieźć orszak weselny do willi, ponieważ jednak nastał czas deszczów przeplatanych pogodą i potoki wezbrały, musiano obmyśleć inny sposób przewozu. Najęto zatem ze 12 słoni wierzchowych, ze służby wybrano zaufanych ludzi, i rankiem puszczono się w podróż wysławszy naprzód służbę, dla usunięcia przeszkód z drogi a więcej może dla pokazania całego przepychu.

Trzy godziny potrzebowano do przebycia przestrzeni dzielącej willę od miasta, i chociaż śliczna pogoda jaśniała przy wyjeździe, po mału niebo zaciągnęło się chmurami, grzmot dał się słyszeć zdala i oznajmił zbliżającą się burzę. Przyspieszono pochodu, osłony bowiem nad huddah chroniące od słońca i drobnego deszczu nie wystarczały wśród ulewy. Krople coraz gęstsze zaczęły spadać kiedy orszak zatrzymał się nad brzegiem strumienia. Zawahano się chwilę co począć, narada jednak nie trwała długo, wysłani ludzie przebyli rzeczkę jak to oznaczały zatkane na żerdziach czerwone płachty, nie było więc niebezpieczeństwa. Bez dalszego namysłu naczele jadący Kornak, popędza swego słonia i w ślad za nim idzie reszta śmiało zapuszczając się w wodę. Strumień z brzegu płytki, staje się coraz głębszy i bystrzejszy, słonie zaczynają pływać i już na przodzie będący dotyka przeciwnego brzegu, kiedy przeciągły świst i długi chrzęst łusek daje się słyszeć, i gromada gaviali wyłania się z zarośli, przecinając drogę. Wyobrazić sobie przerażenie ludzi i przestrach zwierząt! Słonie tamowane w ruchach ciężarem jaki niosły na sobie, nie mogły nadziać na kły i zmiażdżyć swych wrogów, broniły się daremnie trąbami miotając ciosy na przeciw potworów, które uczepione do nóg zadawały im straszne rany. Ryk bolu wzmaga ogólne zamięszanie, słonie poczynają się cofać potrącając wzajemnie; kobiety i mężczyźni zagrożeni upadkiem, wrzeszczą w niebogłosy.

Zamykające pochód słonie zaledwie znalazły się w wodzie, gdy widok groźnego nieprzyjaciela zmusza je do odwrotu. Najbliżej będący brzegu pomimo czepiających się nóg jego jaszczurów, usiłuje wydostać się na ląd, ale brzeg stromy i ślizki nie daje dobrego oparcia, ześlizguje się i upada w tył, potrącając za sobą stojącego towarzysza, ten wywraca się i w swym upadku trzeciego obala kolosa. Gaviale doczekawszy się takiego powodzenia, co prędzej opuszczają twarde członki gruboskórców, by się uraczyć delikatnem mięsem ludzkiem.

Drugiego dnia oddział wojskowy udał się z Kalkuty na miejsce nieszczęścia. Z pomiędzy cierni i zarośli sterczące trzy skielety słoni, podarte łachmany i kawałki ubrań uczepione tu i owdzie — były jedynemi pozostałościami z biesiady potworów. Dwa gaviale poległe w walce leżały rozciągnięte na brzegu, jeden miał kość pacierzową przełamaną uderzeniem nogi, drugi rozdarty bok kłami. Z jedenastu jednak osób, które nie mogły się uratować, nie zdołano odnaleźć ani jednego skieletu, po najskrupulatniejszych poszukiwaniach. Państwo młodzi, ich rodzice, siostry i dwóch służących znikli bez śladu.

Koniec części pierwszej.

Obrazy z Ameryki.

F. GERSTAECKERA.

IV.

Minęła ledwie godzina, gdy do uszu grających zaczęła dolatywać z międzypokładu ogromna wrzawa, wzmagająca się z każdą niemal chwilą.

— Oho! znowu coś nowego! Bóg raczy wiedzieć jakie licho siedzi podczas tej podróży w międzypokładzie Oceaniku. Co dzień świeże awantury!

Z temi słowy powstał od stolika, i przepraszając towarzyszy za przerwę w grze ruszył do drzwi. W tej chwili jednak wszedł mate z jakimś młodzieńcem i poprosił kapitana o chwilę rozmowy. Z niej dowiedział się kapitan, że rzeczywiście przed chwilą zaszła krwawa awantura na miedzypokładzie. Kucharz okrętowy, młody murzyn, chciał zhańbić szesnastoletnią głuchoniemą dziewczynę, a gdy mu w tem przeszkodzono i brat jej rzucił się na niego chcąc pomścić zamierzoną zniewagę, czarny w zapamiętałości dobył noża z za pasa i przebił śmiertelnie młodego człowieka. Wyobrazić sobie można jakie oburzenie zapanowało między pasażerami. Chciano ukarać zbrodniarza natychmiast śmiercią, kapitan jednak sprzeciwił się temu stanowczo. Zapowiedział, że w St. Louis władza ukarze zabójcę przykładnie, tymczasem zaś kazał go związanego trzymać pod strażą. Gdy się oddalił, zaszło zdarzenie, które zniweczyło zamiary kapitana a przyspieszyło karę na mordercę czarnego. Drugi kucharz okrętu, mulat, postanowił uwolnić druha z więzów i spoiwszy straż, porozcinał w danej chwili sznury krępujące murzyna. Już odpinał łódkę, za chwilę byłby umknął do brzegu, i korzystając z zapadającego zmroku, skrył się szczęśliwie, gdy pewien Kentuckijczyk, jeden z tych, którzy głosowali za bezzwłocznem spełnieniem wyroku, ujrzał go właśnie zajętego odpinaniem czółna. Poskoczyć i schwycić uchodzącego zbrodniarza było dlań dziełem jednej chwili. Atoli murzyn zbrojny w nóż, nie łatwo dawał się pokonać, w końcu wyrwawszy rękę, utopił ostrze w ciele przeciwnika. Na szczęście stal ześliznęła się po rzemiennym pasie na ramieniu i tylko zadrasnęła. Tymczasem na krzyk Kentuckijczyka inni nadbiegli, a ujrzawszy krew broczącą odzienie ziomka, prosto z miejsca, bez dalszych refleksyj postanowili ukarać śmiercią podwójnego zbrodniarza.

— O Mr. Blackheath nie dozwólcie, by mnie jak psa zamordowano — przywołajcie kapitana — błagał przybyłego rozpaczliwie czarny łotr.

— I pocóż to wahanie się — ta zwłoka? wołali prawie wszyscy pasażerowie a nawet niektórzy z deckhand'ów i palaczów — do wody z nim — do wody!

— Mordercy — mordercy! — wołał murzyn wijąc się w trwodze śmiertelnej, i napróżno usiłując rozerwać silne więzy. Tymczasem nieubłagani sędziowie wlekli go przemocą do brzegu pokładu.

— Zatrzymajcie się! — zawołał nagle kapitan, który powiadomiony przez jednego z swoich ludzi o obrocie rzeczy, biegł by przeszkodzić zabójstwu.

— *One — two — three — heave* *) — liczyli śpiewem na wzór żeglarzy surowi obywatele i podniósłszy ciało zbrodniarza w górę — naprzód je w wahadłowy ruch wprawili, a potem z ostatniem *heave*, wypowiedzianem głośno i dobitnie, poleciał czarny tułów daleko za pokład i barjerę — i znikł w żółtych falach pieniących się pod uderzeniami kół okrętowych.

W tej chwili maszyna przestała pracować i statek pruł jeszcze naprzód przez chwilę ostatkiem sił, a kapitan poskoczył do majtków, gdy o dwadzieścia kroków w tyle wynurzyła się czarna postać murzyna, pasującego się nadaremnie z pochłaniającą go głębią.

— Niech jeden z was skoczy zaraz do łodzi — chłopcy — zawołał Wilkens gwałtownie — dziesięć dolarów dam temu, który go żywego wyratuje.

Ale żaden nie ruszył się z miejsca i w milczeniu przypatrywali się wszyscy okrutnej walce czarnego z nieochybną śmiercią.

Mając skrępowaną swobodę ruchów, usiłował przynajmniej utrzymać głowę nad wodą. To jednak było daremnem, ciężarem ciała tonął bezustannie i zalewał się wodą, otwierając do krzyku usta. Statek zaś zdawał się stać na miejscu, albo raczej zwolna cofał się z biegiem fali.

Jeszcze raz dała się widzieć na chwilę

*) Raz — dwa — trzy — rzucajcie!

czarna głowa złoczyńcy — potem utonęła na wieki.

— Zginął już! — zawołał kapitan z oburzeniem, odwracając się i zabierając do odejścia, gdy w tem jeden Kentukijczyk zaszedł mu drogę i kładąc poufale rękę na ramieniu rzekł otwarcie:

— Kapitanie, uczyniłeś pan wszystko, co tylko leżało w mocy, aby przeszkodzić spełnieniu tego czynu naszego, więc jesteś pan wolny od wszelkiej odpowiedzialności. Gdy przybędziemy do St. Louis, poszlij natychmiast po konstabla i rozkaż uwięzić nas czterech — mnie z moimi dwoma towarzyszami i tego młodego Niemca. Gdy się to stanie, włos panu z głowy nie spadnie — bo całą winę przyjmujemy na siebie sumiennie, a i o nas nie kłopoc się bardzo. Wygramolimy się jakoś z tej biedy.

— Nie — chyba by mnie tam djabli żywcem porwali moi dzielni chłopcy, żebym dozwolił na wyrządzenie wam choćby najmniejszej przykrości — zawołał Stewart, który właśnie na przemowę Kentukijczyka nadszedł był z Simmonsem; dajcie się spokojnie uwięzić — a kpem jestem jeśli zabawicie dłużej nad 12 godzin za kratami. Znam ja dobrze St. Louis; tamtejsi mieszkańcy to nie ludzie, którzyby dozwolili karać swoich współbraci białych za to, iż ci pomścili na czarnym psie ciężką zniewagę wyrządzoną całemu rodzajowi białemu... Mojem zdaniem należało naprzód tej bestji poobcinać nogi i ręce, a potem rzucić sam tułów do wody... Więc nie obawiajcie się ani chwilę dzielni moi chłopcy.

— Mr. Stewart! — odrzekł mu na to z uśmiechem jeden z majtków, drągal siedmiostopowy, napychając do gęby spory zwitek liści tytoniowych do żucia. — Mr. Stewart jeśli każdy z nich tyle się całą sprawą kłopoce co ja — to *good dam* — czy nie wszyscy żyją w największym spokoju duszy!... O byłem ja nieraz w St. Louis i znam tamtejszych ludzi i stosunki. A zresztą na brzegu każdej chwili znajdzie się kilkaset bootsmenów, którzy ani chwili nie ścierpią — żeby ich kolega dla przeklętego murzyna siedział w kazamacie więziennej. A i temu tęgiemu *dutch'oni*, który tak dziarsko się spisał, przychodząc w czas i ratując Jima, któremu ten czarny łotr byłby niechybnie kawałek stali w piersi zapakował, i temu powtarzam młodzieńcowi włos z głowy nie spadnie — albo nie nazywam się Jonathan i nie wart jestem chodzić po świecie! — Po tej oracji uścisnął wspomnianemu Niemcowi rękę i zapytał otwarcie, czy nie ma kto przy sobie kieliszka *whiskey'a* — bo mu djabelnie gardło wyschło.

— Za pozwoleniem! — wtrącił Simmons — pal djabli wasz whiskey — zaczekaj chwilę bratku, a każę ci przynieść z *bar'u* cały galon najlepszego brandy, jakiego tylko u niego dostaniemy. Spisaliście się wszyscy jak na mężów przystało, więc powinniście pić jak mężowie. Klnę się na moje życie — że chętnie dałbym był 50 dolarów, żeby widzieć tylko tego łotra ukaranego stosownie.

Tymczasem kapitan Wilkens udał się był do kajuty pań — aby je uspokoić i oderwać od przykrej sceny, widnej przez okno.

Statek płynął dalej, torując sobie silną piersią drogę wśród pryskających fal. Na pokładzie jego choć ogółem wszyscy twierdzili stanowczo, że śmierć złoczyńcy była dlań karą sprawiedliwą, przecież jak gdyby zaczarowana uleciała gdzieś swoboda umysłów i nastrój wesoły, który ożywiał był dotychczas wszystkich. Sztucznie wywołany humor znikł niebawem — a naturalnem następstwem przyszły, poważne myśli i refleksje malujące się dosadnie na posowiałych twarzach. Nawet Simmons nie zdawał się bardzo zadowolonym z siebie i więcej jak zwykle szklanek wypił dziś *brandy and sugar*.

Siódmego dnia od wyjazdu z Nowego Orleanu około 10 godziny rano, pasażerowie Oceaniku, gdy minął już skręt ostatni, ujrzeli zdala białe domy St. Louis, a przed niem u brzegu rzeki kilkanaście odpoczywających statków, bądź przeznaczonych do reparacji, bądź do odjazdu do Nowego Orleanu i dalej. Niebawem wpłynął Oceanik w ich towarzystwo.

Dzwonek zadźwięczał — wyrzucono linwy, posługacze przymocowali je do pierścieni żelaznych i poczęło się całe gwarliwe życie, jak ono zwykle bywa na wyładowującym okręcie.

Setki ciekawych, taczkarzy i komisjonerów cisnęły się po dopiero co zarzuconym pomoście na pokład — jedni by powitać znajomych, drudzy ofiarując swe usługi za „mierne wynagrodzenie“, inni jeszcze nagabując przybyłych swojemi towarami, których zapewne w mieście zbyć nie mogli. Tymczasem każdy z pasażerów głowę tracił w tem zamieszaniu — bo i opędzać się musiał natrętnym przekupniom i ochoczym komisjonerom, a przytem musiał dobrze pamiętać o rzeczach swoich i uważać, by który nieproszony nie zabrał mu kufra na taczki i nie znikł z nim w tłumie, co się często zdarza, gdy właściciel opatrzywszy się w czas, nie upomni się o swoją własność.

Z godzinę trwał ten gwar i ścisk, zanim wszyscy opuścili pokład. Pozostali tylko trzej Kentuckijczycy i młody Niemiec, stosownie do złożonego kapitanowi przyrzeczenia, i spokojnie oczekiwali konstabla, do którego Mr. Wilkens posłał był niezwłocznie po przybiciu do brzegu.

Ten nadszedł niebawem i czterej winowajcy pożegnawszy serdecznie kapitana — zapewniającego ich — że wszystko uczyni byle im przyjść z pomocą — poszli do przybytku Temidy... W drodze, rzecz naturalna, konstabl rozpytywał ich o przyczynę uwięzienia, któremu, ku jego zdziwieniu wielkiemu, tak ochoczo się poddali byli. A gdy mu opowiedzieli wszystko, uspokajał ich przyjaźnie i dodawał odwagi, pocieszając, że dłużej jak ośm dni z pewnością w więzieniu nie pozostaną.

— Ośm dni — człowiecze? — zapytał z zadziwieniem jeden Kentuckijczyk spoglądając z boku na stróża bezpieczeństwa publicznego, ośm dni? Chybaby St. Louis djabelnie się odmieniło od niedawna — gdybyśmy tylko ośm godzin siedzieli w kozie!... Ale nie, to być nie może, spodziewam się, że Stewart i Simmons wszystko uczynią, żeby całą sprawę rozgłosić najszerzej... A skoro rzecz będzie wiadomą ogólnie, pewny jestem, że najdalej jutro czterej dobrzy moi znajomi przechadzać się będą swobodnie po St. Louis — a będą to ci sami, którzy w tej chwili w tak miłem towarzystwie zamyślają korzystać z gościnności waszej City! — dodał wesoło.

Jak przepowiedział Kentuckijczyk, obywatele z St. Louis, gdy dowiedzieli się od Stewarta i Simmonsa o przebiegu całej sprawy, ujęli się za więźniami i tłumnie udali się do magistratu, żądając natychmiastowego uwolnienia czterech podsądnych. Atoli naczelnik władzy miejskiej, wykonywującej zarazem jurysdykcję miejscową, wzbraniał się uczynić zadość ich życzeniu, oświadczając, iż sprawa musi przejść torem legalnym — dał jednak do zrozumienia, iż Temida uwzględni wszystko na korzyść obwinionych, bacząc na szlachetne pobudki, które były w grze całej, i uwzględniając słuszne sympatje ludności.

Choć pan prezes mówił ślicznie, nie zadowolił tem jednak gorących Missuryjczyków. — Gdy się ściemniło, tłum złożony z kilkuset ludzi płci obojej, potoczył się ku mieszkaniu dozorcy więzień. Tu wybrał sobie deputację z czterech obywateli i posłał ją do dozorcy upoważniając do odebrania kluczów więzienia.

— Zacni gentlemeni — rzekł Cerber z poważną miną — choćbym rad, kluczów wam oddać nie mogę. Wy możecie mię zmusić do tego, ale dobrowolnie nie naruszę przysięgi wiążącej mię, iż nikomu niepowołanemu nie powierzę tych ważnych instrumentów.

— Dobrze — chcesz byśmy cię zmusili — odparł szorstki głos silnego drągala deputata, który doprawdy strasznie wyglądał pomalowawszy twarz czarną farbą, żeby nie być rychło poznanym; — chcesz przemocy... będziesz ją miał... I z temi słowy wyciągnął z zanadrza krucicę, przyłożył ją do piersi wcale nie zastraszonego tem dozorcy i mruknął dziko: — Oddaj że teraz — *my dear Sir* — klucze, i niech cię licho porwie! Równocześnie pochylając się do uszu niby zatrwożonego klucznika, szepnął mu poufale: Nie bój się Jonny... — nie nabita!

— Ha — jeśli grozicie mi kulą, gwałtem mnie zmuszacie, nie pozostaje mi nic jak oddać wam klucze, ale wy to wszyscy Gentlemeni — dodał zwracając się do tłumu — poświadczycie mi, że tylko zagrożony śmiercią, złamałem mój obowiązek.

— Tak, tak, jesteś dzielny człowiek! — zagrzmiał zewsząd okrzyk i z radością pociągnęli ku zabudowaniom więziennym. Otworzono celę i formalnie wyniesiono na barkach czterech więźniów. Co więcej, obnoszono ich po wszystkich ulicach miasta śpiewając przytem głośnym chórem ulubionego *Jankeedoodle* i klnąc na czem świat stał wszystkich murzynów, że ci, jacy byli w St. Louis pochowali się do mysiej jamy, obawiając się, by na nich jeszcze nie pomszczono łotrowskiej sprawki ich współplemieńca. Tego samego wieczora wyładował obok Oceaniku przybyły z Nowego Orleanu statek „Redroner“ i przywiózł na pokładzie kolonistę z Mississipi, który ścigał biedak „samowolnego zięcia.“ Ale naprożno trudził się tak daleko, bo młoda para skorzystała z czasu i zawiązała między sobą przymierze dozgonne, którego wszyscy koloniści olbrzymiego stanu Mississipi spólnemi nawet siłami rozerwać by nie potrafili...

Aby jednak ominąć strasznego pierwszego spotkania z rozsierdzonym ojcem, niezwłocznie po ceremonji ślubnej udali się oboje do Belville w Illinois, gdzie przebywali krewni Daltona. A w St. Louis naprożno tłukł się po wszystkich zakątkach miasta, gniewny stary ojciec panny młodej, bo nawet nie odnalazł śladu, któryby mu wskazał był kierunek ich dalszej ucieczki. Jedynie rodzina Daltona wiedziała wszystko, ta jednak, jak się spodziewać można, milczała dyskretnie.

Gdy po kilku dniach bezowocnych poszukiwań wpadł przypadkiem na trop i poleciał do Belville — znalazł córkę — ale już straconą bezpowrotnie dla dziewiczych zastępów w Mississipi

i gniewny na siebie i świat cały — wrócił na swoją plantację koło Vicksburga.

* * *

— Gray — mówił Simmons, gdy późną jesienią tego samego roku siedział w rozkosznym saloniku młodej pary — Gray — szkoda, że cię wtedy nie było, gdy ci *boysy* z St. Louis formalnie szaleli z naszymi czterma towarzyszami podróży, włócząc ich z sobą od butyki do butyki. A magistrat widocznie odwracał oczy, bo nawet konstable uciekali tłumowi z drogi. Ten młody Niemiec, zatrzymany interesami, dwa dni jeszcze błądził po mieście, nikt go jednak nie zaczepił, słowem sąd udawał, że o niczem nie wie.

— Cóż się stało potem z Bloomfieldem? — pytał Gray przypominając sobie pocieszną opowiastkę Stewarta o owym sztućcu małego kalibru.

— A prawda, byłbym o nim zapomniał. Otóż pogodziwszy się jak ci wiadomo z Stewartem, powlókł się do jego farmy, zamierzając polować tam na jelenie i kuropatwy. Słyszałem niedawno, że wybiera się zawsze w Góry Skalne, byle znalazł tylko towarzystwo.

— A Dalton? — ciągnął ciekawy Gray.

— Dalton? ten pogodził się z ojcem żony, będącej jedyną starego córką, a nawet wzrasta u niego w łaskę, bo chłopak prawdziwie zacny, a do tego z bardzo poważanej i zamożnej rodziny pochodzący. Między innemi wspominał mi raz, że zamyślał zmienić surowy swój klimat na łagodniejszy, bo wymagało tego wątłe zdrowie delikatnej jego kobieciny. Domyślałem się, że tym łagodniejszym klimatem będzie zapewne plantacja starego teścia. Gdym mu o tem wspomniał, roześmiał się i uścisnął mi rękę, oświadczając, żem bardzo człek domyślny... A teraz mój Grayu kochany, mówiłem do pioruna tyle, że mi wyschło w gębie. Jak by to było, gdybyśmy trochę odwilżyli podniebienia? Dla mnie każ przynieść *brandy and sugar*..

Koniec.

Piśmiennictwo polskie.

(*Kazimierz Górski, Borys ustęp z dziejów dwunastego wieku. We Lwowie. Nakładem księgarni Władysława Bełzy. 1876.*

(*Dokończenie.*)

Spotkały tedy powtórnie zawody Borysa w jego urojonych pretensjach. Nie tracąc dobrej myśli, udaje się do króla francuzkiego Ludwika VIII ze swą pretendenturą. Ludwik jednakowoż, zajęty i tak krucjatą, nie miał ani zamiaru ani chęci mięszać się w sprawy dlań i dla jego państwa obce. Nawet intrygi Borysa nic mu nie pomagają; i tu więc doznał przykrych losów zwodniczej fortuny — o tyle przykrzejszych, że przez dziwny wypadek odczuł on tym razem rózgę fortuny na swym nieugiętym karku. Pomimo to nie stracił Borys ochoty do dalszych starań o koronę węgierską. Znowu postarał się u cesarza bizantyńskiego Emanuela Komnena o protektorat i znowu stał się powodem kilkoletniej wojny Bizantyńców z Węgrami. Wśród nowych awanturniczych przygód zginął w walce z Gejzą z rąk własnego żołniera r. 1156.

Oto kontury zajmującej rozprawki o awanturniku Borysie. Główną jej zaletą jest jasność i przejrzystość w opracowaniu. Rozprawa mogła oczywiście być o wiele dłuższą i obfitszą, gdyby był autor powciągał to wszystko, co o Borysie na podstawie Bogufała napisali historycy. Autor atoli wykazał już w poprzedniej swej pracy, że wiadomościom Bogufała nie należy dawać wiary i że tylko z ostrożnością można ich używać. Zapiski kronikarskie u Wincentego, u letopisców ruskich, Thurocz, Otto fryzyngeński, Odo de Diogilo, jakoteż bizantyńcy Cinnamus i Nicetas Choniates, są źródłami autora.

Przedmiot skąpy sam w sobie, bo ograniczający się na luźne lecz ważne zapiski, ugrupował autor systematycznie i z dobrze zrozumianą pragmatycznością. Mam tu na myśli wyniki, które znajdujemy n. p. k. 9. na str. 9. a do jakich dochodzi, rozumnie pragmatyzując z Thurocza.

Ponieważ i podania tego węgierskiego historyka nie zasługują na bezwzględną wiarę, więc poddaje je autor krytyce źródłowej, ilekroć tego ważność miejsca i rzecz sama wymaga. Szczególniej postępuje tak autor co do ustępów o wojnach z lat 1132—33. Przy opisie wyprawy z roku 1132, nawiązuje autor do wiadomości Turocza o poselstwie węgierskim do Bolesława, rzecz o napadźie Szląska, a tak czyni motywowanie odwrotu Bolesława wielce prawdopodobnem. W ogóle zawiłą kwestję wypraw z lat 1132—1134 znajdujemy u p. G. rozświetloną i chętnie godzimy się na rozróżnienie w źródłach dwu wypraw; w Turoczym odnoszą się ustępy do wypraw z r. 1132 i 1133, u Ottona do 1133 i t. d. Umiarkowany ton w całej rozprawie, nieprzyjmowanie rzeczy niepewnych lub wątpliwych za pewniki (jak co do Judyty córki Bolesława, iż ta niby miała być żoną Borysa) godzenie się wreszcie na bardzo dobre poprawki w źródłach, (jak Jaffégo na str. 17 w uwadze) oto zalety, które podwyższają wartość pracy u każdego nieuprzedzonego czytelnika. Autor obeznał się gruntownie z źródłami i z dotyczącą literaturą, dzięki czemu oryginalna postać awanturnika z XII wieku, występuje wybitniej i jaśniej przed naszemi oczyma, aniżeliśmy ją widzieli w dotychczasowych pracach historycznych.

A. X—ska.

Zamiana

z

Lermontowa.

Być może — na świecie wesoło i ładnie,
Świat z turmą nic nie ma wspólnego...
Tem lepiej, bo kupiec odnajdzie się snadnie
Na resztę żywota mojego. ,
I kontrakt wymiany spiszemy dokładnie,
Co dam mu, co wezmę od niego.

Jeżeli w tajnikach grobowych schroniony
Duch jaki się stęsknił za światem,
I radby powrócić by żywot stracony
Dojrzałym napowrót wziąć kwiatem,
Mam latek trzydzieści, ni dzieci, ni żony,
Sił, zdrowia, dostatkiem — więc zatem...

Niech bierze! Ja z chęcią mu oddam nadzieje,
Zawody, obawy, pragnienia —
To wszystko czem żywot krzywi się lub śmieje,
Co pasmo tu składa istnienia —
Za jedno: Sen cichy pod lampką, co tleje,
Za wieczność w mogile milczenia!

Paryż d. 15 Kwietnia 1876.

Naśladował
J. S. Chamiec.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— „Stara Baśń“. Powieść z IX wieku przez J. I. Kraszewskiego, 3 tomy. Nakładem spółki księgarzy warszawskich. Kraków — 1876.

Pierwsza ta powieść] historyczna niestrudzonego naszego pisarza, rozpoczynająca cykl powieści w których autor ma zamiar opowiedzieć całe dzieje narodu polskiego, pojawiła się nareszcie u nas w handlu księgarskim. O ważnej tej publikacji napiszemy obszerniej, tu zaś nadmienimy, że „Stara baśń“ czyta się z przyjemnością i pożytkiem. Ci, którzy z bajecznemi dziejami naszego narodu, nie są dostatecznie obznajomieni, mają w tej książce prawdziwe ich źwierciadło.

— Posłannicy, obraz dramatyczny w 5 odsłonach przez Stefana Buszczyńskiego. Lwów 1876.

Dla czego autor ten dramat drukował, doprawdy nie pojmujemy. Trudno znaleźć rzecz słabszą i dziwaczniejszą.

— Mignon, nowella Wandycza, Lwów — nakład W. Bełzy. — 1876.

Rzecz nie obszerna, ale potoczyście i nie bez talentu napisana.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Z dniem 1go października wychodzić będzie we Lwowie, pod redakcją p. Władysława Bełzy, a wydawane wspólnemi siłami księgarni Bełzy i księgarni Polskiej, ilustrowane czasopismo dla młodzieży pt. „Towarzysz pilnych dzieci.“ Brak podobnego pisemka oddawna czuć się dawał; Galicja bowiem, na sześcio-miljonową ludność nie posiada ani jednego pisma, któreby jak „Towarzysz“ czuwało nad potrzebami młodziutkich obywateli kraju. To też z całego serca witamy ten pomysł i życzymy mu, by jak najrychlej się zrealizował. Od publiczności zaś naszej zależyć będzie byt i powodzenie „Towarzysza,“ który że starannie będzie redagowany, na to daje gwarancję imię p. Bełzy. „Towarzysz“ będzie najtańszem prawie pismem u nas, gdyż prenumerata jego wynosi kwartalnie w miejscu 1 złr., z przesyłką pocztową 1 złr. 20 ct.

— Powieść Józefa Rogosza pt. „Tak być musiało“ drukowana w „Tygodniu“ wyszła w osobnej odbitce i jest do nabycia we wszystkich księgarniach po cenie 2 zł.

— Zwracamy uwagę naszych czytelników, że z dzisiejszym numerem kończy się tom III naszego wydawnictwa. Tom IV rozpocznie się samemi nowemi utworami.

— Pełna iście staropolskiego humoru komedja Al. hr. Fredry „Przyjaciele,“ której już bardzo dawno u nas nie dawano, została przedstawioną w środę w letnim teatrze. Przedstawienie było nie złe: pp. Nowakowska (Zofja) i German (Bobinė) grały wybornie, szczególniej ostatnia grą pełną naturalnego humoru przyczyniła się wiele do ubawienia wcale licznie zgromadzonej publiczności. Z mężczyzn grających w tej sztuce na szczególne uznanie zasługuje p. Zamojski (Smakosz); z roli swej stworzył on typ prawdziwy i w wysokim stopniu komiczny. Po każdej prawie scenie zbierał zasłużone oklaski. Bardzo szczęśliwe chwile miał p. Linkowski (Krupkowski), który się okazał artystą w całem tego słowa znaczeniu tworząc ze swej nie wielkiej rolki mistrzowską całość. P. Woleński, jako Zdzisław, zanadto pozował na tragicznego kochanka, p. Kwieciński (Czesław) grał blado i bez życia. Całość przedstawienia nazwalibyśmy dosyć znośną, gdyby nie przesadna gra p. Konarskiego (Wtorkiewicza). Przesada w ruchach i mowie posunięta aż do obrzydliwości, idjotyczny i niemile działający na nerwy śmiech, oto wady jego gry. Faktem jest, że trudno gorzej grać tę rolę od niego, choćby się kto silił. Nie pojmujemy, jak dyrekcja może mu powierzać role tego rodzaju?

— Pani Zimajer, która wyjechała była do Warszawy, powraca nazad do Lwowa, o czem publiczność nasza z prawdziwem dowiedziała się zadowoleniem. Pani Zimajer należy do tych artystek, które pozyskawszy sobie względy najszerszej publi-

czności, nie są tak łatwo zapominane. Prócz pani Zimajer, dyrektor teatru lwowskiego, p. Stanisław Dobrzański, zaangażował jeszcze p. Puchniewskiego i pp. Mirecką i Wierzbicką.

— W Bostonie ma być dany w miesiącu wrześniu olbrzymi koncert, prawdziwie amerykański. Orkiestra składać się będzie z tysiąca artystów, chóry przedstawią się jak armia cała: liczyć bowiem będą 10.000 osób. Oprócz rozmaitych olbrzymich instrumentów użyte będą armaty, których wystrzały zastępować mają uderzenie wielkiego bębna. W tym celu przeprowadzone będą druty telegraficzne, i gdy dyrektor orkiestry naciśnie guzik od aparatu, armata w tejże chwili spełni swoje artystyczne zadanie. Na doprowadzenie do skutku tej... muzykalnej uroczystości, podpisano już 100,000 dolarów: każdy z właścicieli hotelów w Bostonie złożył na ten cel 1,000 dolarów. Koncert rozpocznie się śpiewem *Hail Colombia*, wykonanym przez całe 11,000 uczestników.

— Angielski orjentalista Wiliam Lane umarł w tych dniach w Londynie w 75 roku życia. Najważniejszem jego dziełem jest arabsko-angielski słownik, którego szósty tom znajduje się obecnie pod prasą. Do uzupełnienia całego dzieła brakuje jeszcze dwóch tomów, które podobno znajdują się przygotowane w rękopiśmie, w papierach po zmarłym pozostałych. Lane był członkiem prawie wszystkich towarzystw orjentalistów.

— W Londynie zacznie wkrótce wychodzić „Historja Mongołów“ Henryka Honcortha. Dzieło to poświęcone jest prawdziwym Mongołom i Kałmukom; następny tom zawierać będzie historję tych tureckich szczepów, które od potomków mongolskiego zdobywcy Dżengiskhana zawojowane zostały. Będzie to pierwsza dokładna historja tej rasy.

— W Liége w Belgji wyszła broszura zajmującej treści dla Polaków, która opisuje pożar w kopalni węgla w Galicji (w Grudnie) wybuchły. Broszura ta nosi tytuł: „Note sur l'incendie souterrain de la mine de Grudna et sur les moyens employés pour l'eteindre, par Leon Syroczyński directeur des mines de Grudna.“ Broszura ta ciekawa dla fachowych, dobrze jest napisana, jak utrzymują znawcy, i zaopatrzona jest w plan kopalni.

Przemysł i handel.

— Bryła zwyczajnego żelaza, która kosztuje talara, przerobiona na podkowy przynosi 3 talary; na naczynia i ozdoby 45 tal.; na igły 75 tal.; na noże 90 tal.; na scyzoryki 700 tal.; na ozdoby stalowe 2000 tal.; na guziki do koszul 6000 tal.; a na sprężyny do zegarków 50.000 talarów.

— Czytamy w *Czasie*: „Długie trwanie wojny na Wschodzie przynosi niezmierne szkody przemysłowi i handlowi austrjackiemu. Od kilku lat wzmógł się był znacznie wywóz do prowincyj tureckich, w którym i Kraków miał swój udział. Sam rząd turecki ma kilka tysięcy folwarków pod własnym zarządem, a wybierając przytem podatki w naturze, stara się sam o wszystko, co potrzeba dla wyżywienia wojska i koni. Sam też rząd uprawia rolę, sieje, zbiera, młóci, miele mąkę i chleb piecze. Wszelkie potrzebne narzędzia i machiny do niedawna nabywano tam wyłącznie z Anglji i Ameryki, aż dopiero po połączeniu kolejami z Austro-Węgrami, choć to Turcy, policzyli, że za wszystko płacili trzy razy drożej, niż w Austrji nabywając. Spedytorzy Grecy i żydzi zabierali zwykle na swoje koszta 50 prc. wartości towaru. Przed dwoma laty bawił w Krakowie jenerał Strecker, Reszyd basza, obecnie szef sztabu Achmeda Ejuba baszy i zawarł umowę z fabryką p. Zieleniewskiego o dostawę młocarń, pługów, machin parowych itp., a ułożone już urządzenie młyna parowego przez tę fabrykę w pobliżu Szumli, przerwała właśnie wojna w chwili, kiedy Muktar basza, obecnie głównodowodzący, odnośny kontrakt już był podpisał. Strecker jest dawnym pruskim oficerem, uczniem szkół belgijskich, człowiek gruntownie wykształcony i bardzo miłego obejścia. Muktar basza posiada również europejskie wykształcenie, po francusku pisze poprawnie. Pomimo wojny, odchodzi jednak właśnie wyrób przemysłu krakowskiego do Turcji, mianowicie do Jerozolimy, gdzie, jak wiadomo, toczy się ciągły, nieraz i krwawy bój o posiadanie Miejsc Świętych między katolikami, protestantami i prawosławnymi mnichami. W zeszłym roku zabrano katolicką kapliczkę na górze Oliwnej na rzecz prawosławnych popów. W tym roku stanął jednak znowu obok klasztor katolicki żeński, do którego Polacy (hr. Czarnecki) sprawiają właśnie dzwon. Dzwon ten spiżowy, ozdobny, odlany został przez p. Ziembowskiego, bronzownika, a wytoczony w fabryce p. Zieleniewskiego. Obecnie główną opiekę nad Miejscami Świętemi ma konsul hiszpański. Jedna z tych niewielu gałęzi przemysłu, w której Austrja zwycięża wszelką konkurencję, mianowicie wyroby z pianki i z bursztynu stoi odłogiem, z powodu wojny ustał bowiem zupełnie handel na Wschód fajkami, cygarniczkami, cybuchami. Wiedeń niezmierne ponosi ztąd szkody.“

— Handel Hiszpański w r. 1875 przedstawia w porównaniu z r. 1874 znaczne wzmożenie się eksportu w rozmaitych artykułach. Są niemi mianowicie: miedź, rtęć, ołów, owce, wełna, migdały, wódka, katalońskie wina i korki do flaszek.

Wykopaliska.

— Od kilku lat znane jest uroczysko w Leobersdorf obok Vöslau, liczące przeszło 2.000 lat wieku. Liczne przedmioty z bronzu i naczynia gliniane znaleziono tamże, a szkielety ludzkie spoczywały 1 i 2 stopy głęboko pod lekką powłoką pruchnicy pokrytej szutrem dyluwialnym. Przed kilku dniami przy wydobywaniu szutru odkryto grób, który zupełnie inaczej wygląda niż inne. Był on 4 stopy głęboki, murowany z kamieni; widocznie był to grób wspólny. Pierwszy szkielet wykopany w głębokości dwóch stóp pod kamienną powłoką, leżał w skurczonej postaci głową skierowaną na zachód, a nogami na wschód. Bezpośrednio pod nim znaleziono 5 szkieletów ułożonych wręcz przeciwnie, a tak blisko koło siebie, jak kamienie na trotoarze. Udało się 4 nienaruszone czaszki wydobyć. Jedna z nich jest bardzo wielką, inne mniejsze, widocznie żeńskie; jedna z nich nosi ślad głębokiego cięcia na czole. Obok szkieletów znaleziono naokoło ułożone zęby wilka, niedźwiedzia i innych drapieżnych zwierząt, które służyły jako ozdoby. Znaleziono także kilka czerepów naczyń glinianych i dwa kawałki bronzowego pierścienia najpospolitszego kształtu. Charakterystycznemi wykopaliskami są: pięknie wyrobiona kamienna strzała i prawie zupełnie zachowany gliniany dzbanek z uchem pięknie wyrobionem i ornamentalnemi odciskami. Rozkopywaniem tej mogiły kierował członek towarzystwa antropologicznego dr. Feliks Karrer.

Podróże.

— Berlińska „National Zeitung“ podała niedawno wiadomość, że w ciągu września ma się zebrać w Brukselli kongres, który ma zająć się kwestją, w jaki sposób najłatwiej i najprędzej można ucywilizować ludy środkowej Afryki. Obecnie taż sama gazeta dodaje, że kwestja ta jest tylko jedną z wielu, jakie król belgijski Leopold zamierza rozpatrywać wspólnie ze wszystkiemi znakomitemi podróżnikami po Afryce. Myśl prowadzenia badań i poznawania podróżnikowej Afryki według pewnego naukowego systematu i postawienia tej sprawy na stopie międzynarodowej kwestji, wyszła od króla belgijskiego, który prywatną drogą zawezwał do siebie wszystkich podróżników belgijskich, niemieckich, francuskich, angielskich i amerykańskich, chcąc wraz z nimi ustanowić zasady, na jakich badania nadal prowadzone być mają i następnie odnieść się z odpowiedniemi przedstawieniami do wszystkich dworów europejskich. Że na tem zebraniu pomiędzy innemi również braną będzie pod rozwagę kwestja najskuteczniejszego cywilizowania murzynów, rozumie się samo z siebie.

— Amerykanin Johnson przedsięwziął podróż morską, jakiej podobnej nikt jeszcze nie dokonał. Postanowił on bowiem przepłynąć sam jeden na niewielkiej łodzi z Ameryki do Europy i w tym celu w d. 15 czerwca puścił się na morze w Glocester w Stanach Zjednoczonych. W miesiąc potem parostatek St. Louis spotkał go na oceanie. Śmiały żeglarz oświadczył, że bardzo jest zadowolony ze swego przedsięwzięcia i że nie potrzebuje żadnej pomocy. Niedawno oczekiwano jego przybycia w Liverpool, gdzie zamierzał wylądować.

— W Brukselli odbędzie się w wrześniu kongres podróżników po Afryce. Głównym punktem narady, będzie kwestja systematycznego badania Afryki podzwrotnikowej. Następnie toczyć się będzie dyskusja w jaki sposób najłatwiej dadzą się ludy Afryki ucywilizować!

Wynalazki i odkrycia.

— Ważny wynalazek oddany był w tych dniach wszechstronnemu wypróbowaniu w obecności osób fachowych w Portsmouth. Niejaki p. Marchand z Londynu wynalazł przyrząd, za pomocą którego przy pędzeniu machin parowych osiągnąć się da znaczne stosunkowo zaoszczędzenie w używanym do wytworzenia odpowiedniej siły pary materjale palnym. Przyrząd na tem polega, że uchodzącą z cylindra „spracowaną“ już parę odprowadza napowrót do kotła gdzie ta para ciepłotą swą dzieli się z wodą przeznaczoną do wyparowania. Próby wypadły pomyślnie. Machina parowa, która bez zastosowania przyrządu Marchanda potrzebowała 1176 funt. węgla do wytworzenia siły 84,747 koni, po zastosowaniu tegoż wydała siłę 104,129 koni i spotrzebowała przy tem tylko 1158 funtów węgla. Wynalazek Marchanda ma nadto jeszcze drugi ważny cel praktyczny, mianowicie zabezpiecza kotły parowe przeciw wybuchom, które pomimo najsztuczniejszych wentylów zawsze jeszcze stosunkowo dość często się zdarzają.

— Na posiedzeniu kwietniowem br. Akademji medycznej w Rzymie, czytano o drzewie australskiem Eucalyptus globulus rozprawę, która w wysokim stopniu zwróciła na siebie uwagę tego naukowego ciała i postanowiono natychmiast zaprowadzenie flancowania drzewa w miejscowościach nawiedzanych malarją. Czy korzenie, czy liście, czy zapach eteryczno-olejowy, czyli też wreszcie wydzielanie silne z siebie tlenu — dosyć, że Eucalyptus globulus posiada własność, zionące miazmami febrycznemi miejscowości, jak to doświadczenie tysiąckrotnie przekonało, zrobić zupełnie zdrowiu ludzkiemu nieszkodliwemi. We wszystkich krajach leżących po nad morzem Śródziemnem, zyskuje drzewo to coraz większą popularność i flancowanie jego przybiera z każdym rokiem większe rozmiary. W Kampanji rzymskiej spodziewają się także najlepszych po niem skutków, mianowicie jeżeli się przyjmie na błotach pontyńskich, których zabójcze wyziewy tak wiele szkody klimatowi rzymskiemu i ludziom w pobliżu tych błot mieszkającym przynoszą.

Gospodarstwo.

— W pismach poznańskich czytamy: „Z wszystkich prawie okolic, gdzie się uprawą chmielu trudnią, dochodzą żale i skargi, że chmiel przez długą posuchę zczerwieniał, że go trapi robactwo i ze miejscami wiele od mszyc ucierpiał. Nie ma też podobno nadziei, aby stan ten ten w czemśkolwiek się zmienił, gdyż deszcz, któryby teraz padał, nie tylkoby korzystnego nie wywarł wpływu, lecz owszem zaszkodził jeszcze chmielowi. W takich przeto okolicznościach nie dziw, jeżeli spekulacja coraz więcej się ożywia a ochota do kupna coraz większe przybiera rozmiary. Popyt na chmiel z 1875 r. jest bardzo ożywiony a istniejące jeszcze zapasy rozchwytują szybko, choć właściciele wygórowanych zań cen żądają. Z Bawarji i Anglji nadchodzą zlecenia do kupna, które jednak w nader małej tylko części realizowane być mogą, ponieważ zapasy zupełnie prawie wyprzątnięto. W skutek tego zbywa się bardzo łatwo towar z r. 1874 po 70 — do 100 marek za 50 kilo. Za chmiel z 1875 r. płacą obecnie: za towar średni 110 — 120 mk., lepsze gatunki 130 — 150 mk., wyborowy do 160 mk. za 50 kilo. Popyt na chmiel nowy żniwa z 1876 roku jest teraz tak bardzo ożywiony, że już wiele zawarto kontraktów po niebywałej cenie 270 — 290 mk., które płacić się zobowiązali piwowarzy po większej części tutejsi. Wielu jednak producentów i po takiej jeszcze cenie sprzedawać nie chcą, ponieważ sądzą, że ceny jeszcze podskoczą. Uderza przytem, że notowania tutejsze przekroczyły już notowania okolic, do których chmiel ztąd bywa eksportowany.“

Wojskowość.

— Wielkie ćwiczenia francuskiej armji odbędą się na przyszły miesiąc w wschodnich departamentach. Kierować będzie niemi książę Aumale; MacMahon i minister wojny będą obecni.

Nekrologja.

† Wołowski Ludwik, Polak z pochodzenia, sławny ekonomista francuski, zmarł w Gisors dnia 14go sierpnia. Na pogrzebie zebrała się cała polska emigracja, ponieważ nieboszczyk nie zapominał, że Polska była mu matką.

ROZMAITOŚCI.

— Pianista sułtana Abdul-Azisa, nazywający się przypadkiem Donizetti, jak sławny włoski kompozytor, opowiada teraz ciekawe szczegóły o swoim pobycie na dworze nieboszczyka Padyszacha. I tak codzień o godzinie 8 rano, nasz pianista musiał udawać się do sułtańskiego pałacu w pełnym uniformie, a grać miał dopiero o 3 z południa. Gdy wszedł, wprowadzano go natychmiast na wspaniałą galerję, która jednak miała tę wielką niedogodność, że żaden śmiertelnik nie śmiał na niej usiąść. I tu biedny muzyk musiał czekać 7 a czasem 8 godzin! Od czasu do czasu donoszono mu, co Jego Ces. Mość „raczy“ właśnie robić. Oto kilka takich doniesień. „J. C. Mość raczy wstawać z łóżka.“ Pianista odpowiadał na to głębokim ukłonem. „J. C. Mość raczył udać się do kąpieli.“ Nowy ukłon. „J. C. Mość raczy się ubierać.“ Znowu ukłon. „J. C. Mość raczy pić kawę.“ Jeszcze głębszy ukłon — i tak dalej w nieskończoność. Nareszcie wnoszą fortepjan równie kolosalny jak kosztowny, ale ponieważ posadzka jest wyłożona kosztowną mozaiką z drzewa, która mogłaby się popsuć, gdyby po niej toczono ciężki instrument, więc co prędzej odśrubowują nogi, których miejsce zajmują niewolnicy. Klęczą oni jak z drzewa wycięte karjatydy, cały ciężar dźwigając na swoich ramionach. Muzyk robi uwagę, że na fortepjanie tak ustawionym, nie będzie podobieństwem grać dobrze, zwłaszcza że jeden z niewolników jest znacznie mniejszym jak inni; mistrz ceremonji usłyszawszy to, każe przynosić poduszkę, którą podkładają pod kolana małemu niewolnikowi, ale gdy pianista i tem się nie zadowala, po długich ceregielach przyśrubowują nareszcie fortepjanowi jego dawne drewniane nogi. Wreszcie wchodzi Padyszach i każe grać mistrzowi; ten ogląda się za krzesłem. Niestety! nigdzie ani śladu krzesła. Ależ przez miłosierdzie boskie! wszak stojąc niepodobieństwem grać na fortepjanie. Nareszcie sułtan daje znak i jeden z niewolników wnosi krzesło, poczem rozpoczyna się muzyka. J. C. Mość słucha, lub udaje że słucha. Ale tego już za wiele, za wiele! J. C. Mość dostrzegł, że zebranym dworzanom podoba się ta muzyka, więc to go drażni i niecierpliwi. Krzyknąwszy nagle „dosyć!“ spędza mistrza z krzesła, a sam jego miejsce zajmuje i grać zaczyna. Wkrótce dają się słyszeć wybuchy radości, zwłaszcza w tym końcu galerji, gdzie stoją eunuchy. Oni lubią tony fałszywe, a tych nie brak było w grze Jego Sułtańskiej Mości.

— Cesarz rzymski Caligula wydawał na utrzymanie swego dworu tyle pieniędzy, że w ciągu życia wydał nie mniej i nie więcej jak 671 ton złota. Panował on 3 lata, 10 miesięcy i 18 dni, i pzzez ten czas wydał drobnostkę, przeszło 120 miljonów guldenów. Heliogabalus był tak rozrzutny, że jednej sukni, choćby najkosztowniejszej, nigdy nie ubrał dwa razy. W lampach u niego paliły się najcenniejsze balsamy, marmurowe baseny były po wierzch różaną wodą wypełnione, a trzewiki miał zawsze najrzadszemi klejnotami wyszywane. Najpośledniejsza jego suknia była ze złota i aksamitu, każdy objad licząc na nasze pieniądze kosztował 3.000 dukatów. Na jednej uczcie u Heliogabala widziano 6.000 głów pawich, z których goście mózg jedli, poczem w parku cesarskim nastąpiła bitwa morska, na wodzie z wielkim kosztem w tym tylko celu sprowadzonej. Gdy cesarz był w pobliżu morza, na jego stole nie mogła się pojawić ryba; im dalej był od morza, tem rzadsze ryby musiały mu być podawane. Posadzki w jego apartamentach i sceny w pałacowych teatrach były posypywane szczerozłotym piaskiem, a najpospolitsze naczynia były złote i wysadzane drogiemi kamieniami. Ponieważ wróżbici przepowiedzieli Heliogabalowi, że nie zginie śmiercią naturalną, więc kazał sobie porobić sznury ze złota i indyjskiego jedwabiu, aby się obwiesić w razie ostatecznym, nóż złoty, aby się nim przebić, gdyby nie miał innego punktu wyjścia, wreszcie misterną wieżę, aby się z niej zrzucić, gdyby oba poprzednie środki okazały się niemożebne. Tymczasem wszystko go zawiodło, bo podczas powstania Heliogabal został zamordowany w nędznym zaułku swego pałacu, poczem ciało jego było wleczone po ulicach Rzymu i nareszcie do Tybru wrzucone.

— Pewien przedsiębiorca amerykański postanowił niedawno pozbyć się jednego ze swych starych okrętów w sposób nadzwyczaj oryginalny. Zamiast go zaasekurować i puścić na wodę w porze burzliwej, aby się rozbił, jak to inni czynią, porozumiał się z właścicielami hotelów położonych dokoła wodospadu Niagary, i sprzedał im swój okręt w tym celu, aby był puszczony na wodospad. Zamiar ten został rozgłoszony przez dzienniki — i reklama skutkowała. Już na kilka dni przed widowiskiem tysiące ciekawych zjechało wszystkiemi kolejami, i hotele tak zostały przepełnione, że wiele osób musiało mieszkać pod namiotami. W oznaczonym dniu, przedsiębiorcy puścili „Michigana“ tak się okręt nazywał, aż do pierwszego prądu strumienia. Według programu, na pokładzie, dla podniesienia efektu, znajdowały się następujące zwierzęta: jeden bawół, trzy niedźwiedzie, dwa lisy, jeden kot dziki, jeden pies, jeden kot domowy i tuzin gęsi. Dokoła pokładu poustawiano manekiny, które miały ludzi przedstawiać. Przed przecięciem liny, która okręt z brzegiem łączyła, uwolniono od więzów wszystkie zwierzęta, poczem na dany znak „Michigan“ ruszył z prądem. W tej chwili, dwa nieźdźwiedzie przeczuwając że zanosi się na coś złego, rzuciły się do wody i szczęśliwie do brzegu dopłynęły; natomiast trzeci ich towarzysz wylazł na główny maszt, i ztamtąd zdawał się orjentować. Inne zwierzęta biegały jak szalone po pokładzie. W trzecim prądzie okręt wpadłszy na skały, obrócił się i przechylił na jeden bok ale nie zatonął. Dopiero w miejscu, zwanem „podkową“ woda porwała go i rzuciła w pieniącą się przepaść. Z całego gmachu zostały tylko drzazgi. Ze zwierząt znajdujących się na pokładzie żadne nie ocalało z wyjątkiem gęsi, które wkrótce pojawiwszy się na powierzchni, zaczęły strzepywać sobie skrzydła, jak to zwykły czynić wodne ptaki, ilekroć je zmoczy deszcz ulewny. Scena miała być imponującą, a gdy bałwany okręt pochłonęły, widzowie zgromadzeni na brzegu zaczęli bić brawa.

— Żadna z mód kobiecych, nawet krynoliny, nie była wystawioną na takie zarzuty, jak ogony u sukien. Mimo to wszelkie rady przeciwników nie odnosiły właściwego skutku. Wiedeński *Tagblatt* umieścił następujące otwarte pismo pewnego doktora chorób dziecięcych do dam wiedeńskich, które ze wszech miar zasługuje na uwagę. Brzmi ono: „Do zacnych matek wszystkich stanów! Zapewne, żadna z was, moje panie, nie da sobie powiedzieć, że źle się opiekuje swojemi dziećmi, i że przyczynia się głównie do ich śmierci, a jednak ten zarzut dotyczy was wszystkich! Fakt, że w płucach dzieci zmarłych na choroby płucne, przez mikroskop spostrzeżono wielką ilość ziarnek pyłu granitowego, jest powszechnie znanym, a do rozszerzenia tej grasującej śmierci waszych dzieci przyczyniacie się najwięcej wy, matki, przez noszenie ogonów u sukien. Spoglądnijcie raz na promenadzie na czułą matkę prowadzącą na prawo i lewo dwoje dzieciaków 4 do 5 lat liczących, a wznoszącą z tyłu ogonem ciągle tumany kurzu. W tej atmosferze pyłu o wysokości kilku stóp, poruszają się te małe istoty i połykają najwięcej pyłu. Głównym więc powodem wysokiej śmiertelności dzieci są długie ogony u sukien damskich, które mogą być używane w salonach wyścielonych dywanami, ale nie powinne być nigdy noszone nà ulicy. Jeżeli więc wam zdrowie i życie waszych dzieci miłe, zarzućcie tę niedorzeczną modę, radzi wam to szczerze lekarz chorób dziecięcych.“

— Jak świat Stary, tak i Nowy ma swoje morze Martwe, którem jest jezioro Mono, położone w Sierra Nevada w Kalifornji. Jezioro znajduje się w miejscowości niesłychanie dzikiej, wśród skał nie pokrytych żadną roślinnością, a góry które je otaczają, dosięgają wysokości 13.000 stóp. Jezioro Mono jest bliżej znane dopiero od r. 1852. Odkąd pułkownik Moore, walcząc z Indjanami, został aż tam zapędzony, poczem zdał relację o tych wodach szczególnych, turyści częściej teraz zwidzają tajemnicze jezioro, nad którego lewym brzegiem stanęło nawet „miasto“ Mono, składające się z czterech chat drewnianych, zamieszkałych przez pół tuzina przybyszów. Jezioro jest 18 mil angielskich długie a 12 mil szerokie. W zamierzchłej starożytności powierzchnia jego musiała wznosić się o 800 stóp wyżej jak teraźniejsza, gdyż ślady tego znajdują się na skałach nadbrzeżnych. Martwe morze starego kontynentu, które według podania miało zalać Sodomę i Gomorę, nie jest ani w połowie tak dzikie i straszne jak jezioro Mono. Wody jego są mętne i gęste, całkiem podobne do mydła rozpuszczonego; żadne stworzenie żyć w nich nie może, a każdy przedmiot wrzucony natychmiast kamienieje. Ktoby dla próby chciał się w jeziorze wykąpać, pływał by po powierzchni jak kawałek korka, i mimo największych usiłowań nie mógłby się zanurzyć.

— Fiakry weszły w używanie najpierw w Paryżu i to bardzo dawno; już za Henryka IV krążyło ich kilka po stolicy, ale jeszcze i za Ludwika VIII nie miały osobnej nazwy. W owym czasie, żył w Paryżu mnich bardzo świątobliwy, z zakonu Augustynów, którego nazwisko było Fiaker. Gdy ojciec Fiaker umarł, sława jego jeszcze bardziej się rozniosła, i każdy wierzył, że relikwie po nieboszczyku mają moc cudowną. Woźnice nowych dorożek postanowili oddać się w opiekę nowemu świętemu, i aby uchronić się od złych wypadków, obwiesili swoje powoziki jego wizerunkami. Dla tego nazywano z początku publiczne dorożki „voitures de Saint Fiacre,“ co później skrócono na Fiaker, i nazwa ta rozpowszechniła się potem po całym świecie.

— Okropny wypadek wydarzył się na przedmieściu paryskiem Issy. Aeronauta Triquet puścił się balonem z 18-letnim synem, który jako akrobata miał pokazywać pod łodzią na wiszących sznurach swoje sztuki łamane. Z początku wszystko szło jak należy, ale gdy balon spuszczał się na dolinę Montrouge, wiatr pochwycił go i zaczął nim tłuc o mury jakiejś fabryki. Syn aeronauty zaplątany w sznury, nie mógł się odpiąć i wiatr tłukł nieszczęśliwym młodzieńcem o ściany domów. Przytrzymano wreszcie balon i zdjęto młodego Triqueta już bez życia, a ojca jego ciężko potłuczonego, lubo ten siedział w łodzi.

— Podczas gdy Japonja zaprowadziła już u siebie pocztę na wzór europejski, Chiny trzymają się ciągle dawnego systemu. Rząd sam ma kurjerów, zostających pod bezpośredniem zwierzchnictwem ministra wojny, którzy na szybkich koniach przebiegają całe państwo, rozwożąc rozkazy syna słońca. Prywatni, pozbawieni w tym względzie opieki rządu, pozakładali we wszystkich ważniejszych miejscowościach formalne urzędy pocztowe, w których można oddawać listy i pakiety. W razie gdyby posyłka zginęła, urząd zwraca poszkodowanemu kwotę zabezpieczoną. Komunikacja między poszczególnemi stacjami odbywa się za pomocą posłańców jadących na osłach; na każdej nowej stacji jeździec zmienia osła, który sam potem do domu wraca. Mimo, iż w Chinach nie brak rozbójników, nigdy się nie zdarza, by poczta była napadniętą i zrabowaną. Pochodzi to ztąd, że centralny zarząd opłaca się bandytom, którzy jako ludzie „honorowi“ dotrzymują słowa i listonoszów szanują.

— Gdy słynny romansopisarz węgierski Jokai powracał z teraźniejszej swej podróży do Siedmiogrodu, przepędził jeden dzień w Szatmarze a drugi w Nagybanya. W obydwóch miastach urządzono na cześć jego bankiety, a w Szatmarze ofiarowano mu srebrny puhar z napisem „Maurycemu Jokai na pamiątkę od Szatmarskich kobiet 14 sierpnia 1876.“ Kobiety w Nagybanya zaś zamiast ofiarować mu jaki upominek, prosiły go przez deputację o pozwolenie, aby go wszystkie kolejno ucałować mogły. Rozumie się, że Jokai nie odmówił tej prośbie!

Od Redakcji.

S. K. w Poznaniu. Przysłane poezje nie będą drukowane.

S. M. Tarnopol. Prospekt z ilustracją jest już we Lwowie i z następnym numerem zostanie rozesłany.

Treść Nr. 35.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).

Koniec tomu trzeciego.